

Susan Fox

Do wesela się zagoi

Tytuł oryginału: To Claim a Wife

ROZDZIAŁ PIERWSZY

List był krótki niczym telegram:

Przyjedź natychmiast do Broken Ground. Jess Bodine umiera. Jest na intensywnej terapii w szpitalu w Coulter City.

RD

Wiadomość o ciężkim stanie ojca nie zaskoczyła Caitlin Bodine. Orientowała się, że Jess jest bardzo poważnie, wręcz śmiertelnie chory.

Informacje o kimś tak ważnym, jak on, i tak znanym w elitarnym gronie największych teksańskich ranczerów, docierały bowiem niemal na bieżąco nawet do odległej od Teksasu o dobre dwa tysiące kilometrów Montany.

Caitlin wiedziała zatem, już od kilku miesięcy, że jej ojciec poważnie niedomaga. I już od kilku miesięcy systematycznie pisywała do niego listy!

Jess Bodine trwał jednak w ślepych uporze i konsekwentnie nie odpowiadał, odbierając w ten sposób córce resztki nadziei, że kiedykolwiek przestanie ich dzielić bezdena przepaść.

Od pięciu lat Caitlin Bodine nie widywała się z ojcem ani nawet nie rozmawiała z nim przez telefon. Od zawsze natomiast, czyli od najwcześniejszego dzieciństwa, dokąd tylko sięgała pamięcią, czuła, że jest przez niego odrzucana, odpychana, a w najlepszym przypadku ignorowana.

Przez wszystkie dotychczasowe lata swojego życia z całego serca, rozpaczliwie wręcz pragnęła akceptacji i miłości, albo chociaż najzwyczajszej sympatii ze strony ojca, którego w skrytości ducha podziwiała i wielbiła.

Jess Bodine nigdy jednak nie kochał ani nawet nie lubił swojej jedynej córki, swojego jedynego dziecka...

A pięć lat temu po prostu wyrzekł się Caitlin!

Usunął osiemnastoletnią podówczas dziewczynę ze swojego domu w Broken Ground, w stanie Teksas. I zrywając wszelkie z nią kontakty, usunął ją ze swojego życia.

Nie zdobył się nawet na to, by wezwać ją do siebie w sytuacji ostatecznej, w obliczu śmierci!

Lakoniczny niczym depesza list, przynaglający Caitlin Bodine do pojawienia się po pięcioletniej nieobecności w rodzinnym Broken Ground w Teksasie, napisał z własnej inicjatywy Reno Duvall.

Reno napisał do Caitlin, chociaż jej szczerze nienawidził. A ojciec, niestety, nie napisał...

Reno Duvall szedł bez pośpiechu długim, dość wąskim korytarzem szpitala miejskiego w Coulter City w stronę oddziału intensywnej terapii i z najwyższą niechęcią myślał o tym, że już niebawem przyjdzie mu znowu zetknąć się z Caitlin Bodine.

Sam ją zachęcił do przyjazdu z dalekiej Montany w rodzinne strony, to prawda. Uważał bowiem, że powinna się pożegnać z odchodzącym z tego świata ojcem i dlatego napisał do niej list.

Był jednak również przekonany, że to przez nią stracił przed pięciu laty życie jego młodszy brat, Beau...

I z tego powodu z całego serca jej nienawidził!

Beau Duvall był rówieśnikiem Caitlin i ulubieńcem Jessa Bodine'a. Jess generalnie bowiem wolał pasierbów, synów swojej drugiej żony Sheili z jej poprzedniego małżeństwa, od własnej córki z pierwszego związku. A już szczególnie faworyzował Beau.

Caitlin strasznie cierpiała z tego powodu. Zazdrosna o względy ojca, uważała Beau za niebezpiecznego rywala czy wręcz wroga.

A ponieważ nie była w stanie skutecznie z nim walczyć, konkurować, to na przemian albo popadała w melancholię i depresję, albo urządzała awantury i zakłócała spokój histerycznymi wybuchami złego humoru.

Po każdym takim wybuchu, strofowana surowo przez ojca, upominana nieco delikatniej przez macochę i z młodzieńczą bezwzględnością wydrzwiana przez młodszego z przybranych braci, wymykała się z domu.

Kryła się przed całym światem i wypłakiwała wszystkie swoje żale w jakimś trudno dostępnym, oddalonym od rodzinnej rezydencji miejscu na ranczu, w którejś z kilku swoich sekretnych samotni. Jedną z nich miała w kanionie, nad rzeką.

Rzeka, która przepływała przez rozległe tereny ran - cza Broken Ground, była na co dzień w gruncie rzeczy tylko dość płytkim strumieniem. Ponieważ jednak niosła wody z obszaru Gór Skalistych oraz będącej ich przedpołem Wielkiej Równiny Prerii i miała wysokie, strome, kamieniste brzegi, robiła się niekiedy głęboka, rwąca i niebezpieczna.

Ileokroć w górnym biegu rzeki szalały burze i padały intensywne deszcze, lokalna rozgłośnia radiowa w Coulter City ostrzegała przed nagłym i znacznym, choć zwykle krótkotrwałym, przybojem wód.

Nikt rozsądny nie zbliżał się wtedy do rzeki, zwłaszcza w tym jej odcinku, w którym przepływała przez wąski i głęboki kanion.

Mieszkańcy i pracownicy rancza Broken Ground również nie narażali się na niebezpieczeństwo, tylko przezornie i cierpliwie czekali z pojeniem bydła czy kąpielą, aż gwałtowna i potężna powodziowa fala przetoczy się trochę dalej na

południowy wschód, w stronę nadbrzeżnych nizin i Zatoki Meksykańskiej.

Jednak żadna rozżalona, sfrustrowana, rozhisteryzowana osiemnastolatka nie jest, niestety, wystarczająco rozsądnym człowiekiem!

Dlatego Caitlin Bodine, po którejś tam z kolei piekielnej awanturze z ojcem, wywołanej przez nią samą, lecz sprowokowanej poniekąd przez młodszego z przybranych braci, uciekła z domu nad rzekę. Całkowicie, ze straceńczą wprost zuchwałością zlekceważyła sobie fakt, że radio wielokrotnie nadawało komunikaty o intensywnych opadach w górnym biegu i zapowiadało powódź.

Uciekła, zanim ktokolwiek zdążył ją przed tym powstrzymać. A jej rówieśnik, osiemnastoletni zuchowaty młodzik, Beau Duvall, wyruszył za nią w pogoń, zanim ktokolwiek na ranchu zdążył mu wyperswadować samotną ekspedycję i zorganizować grupę ratowniczą z prawdziwego zdarzenia.

Dlaczego Beau to zrobił?

Być może chciał uchronić przybraną siostrę przed niebezpieczeństwem albo też czuł się po trosze winny temu, co zaszło.

Najprawdopodobniej jednak miał ochotę popisać się przed ojczymem i resztą rodziny własną sprawnością, samodzielnością i odwagą!

I tak, powodowani ryzykancką młodzieńczą brawurą, oboje znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Osiemnastoletnia Caitlin Bodine jakimś cudem zdołała wyjść z niego obronną ręką. A osiemnastoletni Beau Duvall utonął.

Po śmierci młodszego o pięć lat brata, Reno Duvall znenawidził Caitlin, choć wcześniej ją tolerował, a nawet na swój sposób lubił. Rozwścieczony i równocześnie zacięty w

gniewie Jess Bodine wyrzekł się córki i wyrzucił ją z domu, surowo zakazując powrotu za swojego życia.

Z pełnej, pięcioosobowej rodziny, jaką tworzyli przez osiem lat, niemalże z dnia na dzień zostało ich na ranchu Broken Ground tylko dwóch - ojciec i przybrany syn.

Trawiona zgryzotą Sheila Duvall - Bodine, żona Jessa i matka Reno, wkrótce po tragicznej śmierci ukochanego młodszego syna zmarła na atak serca.

Jess i Reno żyli więc i gospodarowali razem. A kiedy Jess zaniemógł i w beznadziejnym stanie trafił do szpitala w Coulter City, Reno pozostał sam.

Nie pytając ojczyma o zgodę, wezwał wówczas listownie Caitlin, ponieważ doszedł do wniosku, że bez względu na to, co zaszło, powinna pożegnać się z leżącym na łożu śmierci ojcem.

Nakłonił ją zatem do przyjazdu z Montany, choć wcale nie miał ochoty się z nią spotykać i wolałby nie widzieć jej na oczy.

Reno Duvall zobaczył Caitlin Bodine w holu, tuż przed wejściem na zamknięty dla postronnych osób oddział intensywnej terapii.

W momencie kiedy tam dotarł, krocząc w zamyśleniu korytarzem, który prowadził z bocznego, administracyjnego skrzydła szpitala w Coulter City, ona akurat wysiadała z windy.

Na pierwszy rzut oka wydała mu się wyższa niż przed pięciu laty, mimo że w jej smukłej sylwetce znacznie mniej było teraz kanciastej, ostrej dziewczęcej strzelistości, a zdecydowanie więcej przyciągającej męski wzrok kobiecej krągłości i miękkości.

Wydała mu się wyższa, postawniejsza, bardziej zdecydowana w ruchach, a także bardziej pewna siebie i bardziej niż niegdyś świadoma własnej oryginalnej urody

niebieskookiej brunetki o zmysłowych, naturalnie koralowych ustach kusicielki i nienagannej figurze modelki.

Caitlin Bodine była teraz po prostu piękną kobietą.

Ubrana na okoliczność wizyty w szpitalu z dyskretną, stonowaną elegancją, sprawiała wrażenie damy. I tylko w przelotnym, po trosze zdziwionym, po trosze wystraszonym, a równocześnie w charakterystyczny sposób buńczucznym spojrzeniu, jakim go obrzuciła w momencie spotkania, kryło się coś, co przypominało w niej dawną nastolatkę. Dziewczynę zagubioną, rozżaloną na cały świat i wszystkich ludzi, spragnioną ciepła i uczucia. I swoją codzienną arogancją wobec osób z najbliższego otoczenia oraz ciągłymi wybuchami agresji usilnie, choć nieskutecznie, maskującą własną niepewność i skumulowane przez lata cierpienie niekochanego dziecka.

Spojrzenie Caitlin było wprawdzie przelotne, ale wystarczająco uważne i przenikliwe, by zarejestrować z fotograficzną dokładnością, jak prezentuje się po pięciu latach Reno Duvall.

A prezentował się - musiała to przyznać w duchu - tak samo atrakcyjnie, jak wówczas, kiedy podkochiwała się w nim skrycie czy wręcz kochała na zabój, będąc nastolatką.

A nawet jeszcze bardziej atrakcyjnie, ponieważ absolutnie nic nie stracił na efektownej urodzie południowca, natomiast wiele zyskał na męskości!

Rysy twarzy miał teraz dojrzałe, wyrazistsze, ramiona szersze, tors bardziej muskularny.

Wysoki, atletycznie zbudowany, czarnowłosy i czarnooki, zrobił na niej wrażenie doprawdy imponujące.

Albo raczej - przytłaczające!

W jego oczach płonął bowiem nadal ten sam ogień nienawiści.

Przecież on przez te wszystkie lata najwyraźniej nie pogodził się z niczym, uzmysłowiła sobie z goryczą Caitlin Bodine. Niczego nie przeanalizował, nie przemyślał. Nie przyjął do wiadomości faktu, że ona wcale nie jest winna śmierci jego młodszego brata. Niczego nie zrozumiał, nie pojął, nawet się pewnie o to nie starał, nie próbował. Wolał zapamiętać się w gniewie, zaciąć w uporze. Całkiem tak samo, jak jej ojciec.

- Jak ojciec? Czy żyje? - wyrzuciła z siebie jedno po drugim dwa zasadnicze pytania, przerywając w ten sposób pełną napięcia ciszę.

- Żyje - odpowiedział stłumionym, lekko schrypniętym, niskim głosem Reno. - I nawet się w końcu zgodził na twoje odwiedziny.

- Naprawdę?

- Tak.

- Zaprowadzisz mnie do niego?

Reno Duvall skinął głową i z rozmachem pchnął masywne wahadłowe drzwi, które oddzielały hol od oddziału intensywnej terapii.

Wkroczył na oddział.

Caitlin ruszyła za nim.

Idąc korytarzem, Reno ani nie oglądał się do tyłu, ani się nie odzywał. Dopiero bezpośrednio przed wejściem do sali przepuścił Caitlin przodem i mruknął do niej:

- To tu. Możesz wejść.

Dość niepewnie wsunęła się do środka.

Sala, jak zwykle na intensywnej terapii, była wieloosobowa, aby dyżurująca przy aparaturze pielęgniarka mogła równocześnie kontrolować stan kilku chorych.

Ulokowani tu pacjenci, nie zawsze przytomni, mieli do swojej dyspozycji przeszklone boksy, zapewniające im

zaledwie minimum intymności, ale za to maksimum bezpieczeństwa.

Caitlin rozejrzała się ostrożnie. Z pewnym trudem rozpoznała swojego ojca w posiwiałym, wychudłym, pobladłym na wymizerowanej twarzy, przedwcześnie postarzałym mężczyźnie, który leżał z przymkniętymi oczyma w czwartym z kolei boksie od lewej, pod tlenem i kroplówką. Niegdyś był to najprzystojniejszy i najpostawniejszy ranczer w całym okręgu Coulter City.

- Wielki Boże, co się z nim zrobiło! - szepnęła przerażona.

- Jest ciężko chory - odezwał się półgłosem Reno. - Ale ciągle przytomny - dodał po chwili. - Orientuje się w swoim stanie, wie, co mówi. I wie, czego chce.

Gdy Caitlin i Reno zbliżyli się do łóżka, Jess Bodine powoli otworzył oczy.

Zmarszczył brwi, tak samo siwe, jak przysrzyżona na jeża czupryna i spod ciężkich, obrzmiałych powiek spojrzął uważnie, choć z widocznym wysiłkiem, najpierw na przybranego syna, a potem na córkę.

- Witaj, tato! - wykrztusiła Caitlin.

Reno Duvall nie powiedział nic. Pochylił się tylko nad chorym i z dużą wprawą zdjął mu przesłaniającą usta i nos tlenową maskę.

- Okaze się... czy masz prawo... mnie tak... nazywać - wychrypiał trochę niewyraźnie Jess, z trudem chwytając powietrze.

- Jak to? - zdziwiła się Caitlin.

- Reno dopilnuje... żebyś sobie zrobiła... odpowiednie... testy krwi.

- Ale po co, tato? - dopytywała się Caitlin, podejrzewając równocześnie w duchu, że jej beznadziejnie chory ojciec

jednak nie zawsze wie, co mówi i w tej chwili po prostu bredzi.

- Bo moja krew... dziedziczy... po mojej śmierci... połowę Broken Ground - wyszeptał Jess głosem tak słabym, że niemal niesłyszalnym. - Obca krew... nie dostaje... nic. Wszystko bierze... Reno.

Jess Bodine umilkł, tracąc oddech.

Reno Duvall pośpiesznie podał mu tlen.

Caitlin cofnęła się, przestraszona.

W pierwszym odruchu miała zamiar wybiec z przeszklonej izolatki i jak najszybciej przywołać pomoc lekarską czy pielęgniarską. Uzmysłowiwszy sobie jednak, że dyżurna pielęgniarka z pewnością widzi, co się dzieje z chorym, i zorientowawszy się, że Reno Duvall doskonale wie, co robić, została przy ojcu.

Jess Bodine, po kilku nierównych wdechach i wydechach, zaczął oddychać spokojniej. Nie otworzył już jednak oczu ani niczego więcej nie powiedział.

Caitlin zaczęła więc gorączkowo analizować w myślach usłyszane przed chwilą słowa.

Testy krwi, moja krew, obca krew.

Te bezsensowne z pozoru sformułowania leżącego na łożu śmierci mężczyzny, który nigdy w życiu nie okazał bodaj odrobiny miłości swojej córce i przez wiele lat wyraźnie faworyzował przybranych synów z drugiego małżeństwa, zaczęły stopniowo nabierać znaczenia.

Konkretnego znaczenia!

Przerażająco konkretnego i rzucającego nieoczekiwanie ostre światło na mroczny problem zranionych uczuć dziecka, odrzuconego przez ojca zupełnie bez powodu, a raczej z powodów, o jakich nie mówi się dzieciom, a nawet dojrzewającym nastolatkom, przynajmniej w konserwatywnych ranczerskich rodzinach w Teksasie.

- On będzie teraz spał. Zostawmy go lepiej samego - zasugerował Reno.

Caitlin skinęła głową na znak zgody.

Opuścili oszkloną izolatkę Jessa Bodine'a, przeszli w milczeniu przez wypełnioną monitorami dyżurkę pielęgniarki i wydostali się na korytarz.

- Laboratorium jest na parterze - beznamiętnym tonem odezwał się Reno.

- I co z tego? - syknęła Caitlin. - Nie wybieram się na żadne testy!

- Zwróć uwagę, że jeśli ich nie zrobisz, to automatycznie stracisz swoją część spadku po ojcu i ja odziedziczę wszystko. Tak głosi testament.

- Obalę go!

- Spodziewam się, że nie dasz rady, Caitlin - stwierdził sceptycznie Reno. - Będziesz się miotać, ale nic nie zdasz, jak zwykle.

Caitlin Bodine w pierwszej chwili dosłownie zatrzęsła się z oburzenia i złości.

Wzięła głęboki oddech, zupełnie jakby chciała głośno zaprotestować, a może nawet pokłócić się z Reno i porządnie mu nawymyślać. Ostatecznie jednak nie odezwała się ani słowem, tylko ciężko westchnęła i z rezygnacją opuściła głowę.

Istotnie, w prowadzonej od najwcześniejszego dzieciństwa usilnej, rozpaczliwej walce, nieustannej beznadziejnej samotności o ojcowską miłość, a przynajmniej życzliwość i akceptację, nigdy nie udało jej się absolutnie niczego osiągnąć.

Uwielbiany, podziwiany ojciec uparcie ignorował ją i jej uczucia, trzymał ją stale na dystans. Każdy obcy dzieciak był dla niego lepszy, mądrzejszy, ładniejszy, bardziej godny

zainteresowania i uwagi od własnej córki. Każdy przybysz, przybędą...

Takimi przybyszami byli w Broken Ground bracia Duvallowie, których matkę, Sheilę, wdowę po niebogatym ranczerze, Jess Bodine poznał podczas jakiegoś przypadkowego pobytu w San Antonio i którą szybko sprowadził do swojego domu wraz z jej synami.

Z panią Duvall się ożenił, a jej chłopaków - młodszego Beau, rzutkiego, zuchowatego i wyjątkowo złośliwego wobec przybranej siostry, oraz starszego Reno, poważnego, nieco mrukowatego, lecz bez porównania sympatyczniejszego dla Caitlin - usynowił, uznał za własnych.

Spryciarz Beau, który niemal od pierwszego dnia pobytu na ranczu stał się ulubieńcem Jessa, skwapliwie wykorzystywał swoją uprzywilejowaną pozycję i panoszył się w Broken Ground aż do dnia swojej tragicznej śmierci w nurtach wezbranej rzeki.

A kiedy zginął, pozostawił po sobie mroczny cień...

Cień, który padł na dalsze życie wszystkich pozostałych przy życiu członków rodziny.

Po tragicznej śmierci Beau jego matka rozchorowała się bardzo poważnie na nerwy i na serce, i niebawem również odeszła z tego świata.

Po tragicznej śmierci Beau Caitlin została wyklęta przez najbliższych i wyrzucona z rodzinnego domu.

Po tragicznej śmierci Beau jego brat Reno znenawidził ją, choć wcześniej był dla niej całkiem miły.

Po tragicznej śmierci Beau ojciec Caitlin zamknął się w sobie i stracił życiową energię, w efekcie czego poddał się nieuleczalnej chorobie znacznie łatwiej i szybciej, niż mógłby się tego po nim spodziewać ktokolwiek, kto znał go wcześniej jako człowieka zawsze pełnego werwy i nieodmiennie cieszącego się doskonałą kondycją fizyczną.

Teraz ojciec Caitlin Bodine umierał i w swojej ostatniej woli żądał od niej poddania się upokarzającym testom krwi, które miały wyjaśnić, czy jest ona naprawdę jego rodzoną córką.

Najwyraźniej z jakichś powodów w to wątpił...

Z pewnością od wielu lat, od dnia jej narodzin, od zawsze!

Dlatego pewnie nigdy w życiu jej nie kochał, nie hołubił, nie akceptował. I pewnie dlatego stale robił coś, co być może odczuwała najboleśniej - starał się nie zauważać, nie dostrzegać jej obok siebie.

Teraz, przed śmiercią, uparty Jess Bodine również się postarał, żeby nie zauważyć córki po raz kolejny, pominąć ją w testamencie i przekazać Reno Duvallowi rodową posiadłość Bodine'ów - ogromne ranczo Broken Ground, wraz ze znajdującymi się na jego terytorium i przynoszącymi spore dochody szybami naftowymi.

Znając niezależny, niepokorny charakter Caitlin, mógł przecież z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że raczej wyrzeknie się schedy, niż zrobi testy.

- Niedoczekanie! - syknęła przez zaciśnięte zęby, przejrząwszy jego grę.

Po czym wyprostowała się dumnie i spoglądając Reno Duvallowi prosto w oczy, zapytała:

- Gdzie jest laboratorium?

- Przecież mówiłem, na parterze - mruknął.

- To na razie - rzuciła obojętnym tonem i skierowała się w stronę windy.

- Na razie cię tam zaprowadzę, a dopiero potem się pożegnamy - oświadczył Reno.

- Sama trafię! - zachnęła się.

- Mam dopilnować.

- Nie musisz! - wybuchnęła. - Sama najlepiej dopilnuję, żebyś przypadkiem nie dostał tego, co ci się wcale nie należy.

Ranczo Broken Ground to przecież moje dziedzictwo, mój dom!

- W najlepszym przypadku w połowie - zauważył ze stoickim spokojem Reno. - Połowę Jess, tak czy inaczej, przeznaczył dla mnie.

- Niestety! - wykrzyknęła Caitlin.

Reno Duvall wzruszył ramionami, pozostawiając jej ostatnie słowo.

W milczeniu zjechali windą na dół i przeszli korytarzem do bocznego skrzydła szpitalnego budynku.

Również w milczeniu rozstali się przed wejściem do laboratorium.

Kiedy Reno zniknął, Caitlin zgłosiła się do rejestracji i wypełniła niezbędne formularze. A potem przysiadła w poczekalni w jednym z kilku klubowych foteli, przeznaczonych dla pacjentów.

Oczekując na wezwanie do gabinetu, zaczęła rozmyślać o matce.

Elaina Bodine, z domu Chandler, zmarła tragicznie. Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy Caitlin miała zaledwie osiem lat.

Za życia była radosną, pełną uroku kobietą, niezwykle atrakcyjną brunetką o posągowej figurze i szlachetnych, harmonijnych rysach twarzy.

Twarzy, której jej córka... prawie nie pamiętała! Czas bowiem zrobił swoje i dość szybko i skutecznie zatarł w dziecięcej pamięci Caitlin wizerunek pięknej Elainy.

Zatarł tym łatwiej, że natychmiast po pogrzebie żony Jess Bodine usunął z domu nie tylko wszystkie jej osobiste rzeczy, ale również wszystkie jej zdjęcia, a także duży olejny portret, namalowany przez jakiegoś bawiącego przejazdem w prowincjonalnym Coulter City artystę malarza.

W Broken Ground nie pozostało dosłownie nic, co mogłoby komukolwiek z domowników przypominać Elaine. Nie licząc, oczywiście, „żywego portretu”, jakim była córka, wedle powszechnej opinii uderzająco podobna do matki. Córka nigdy nie kochana przez ojca i w związku z tym stokroć bardziej zrozpaczona, rozżalona, przerażona, osamotniona i nieszczęśliwa niż jakiegokolwiek inne dziecko, które przedwcześnie utraciło matkę!

Wspominając swoje smutne i mroczne dzieciństwo - senne koszmary, jakie dręczyły ją niemal każdej nocy w ciągu kilku pierwszych miesięcy po śmierci matki, nerwicowe wymioty i bóle żołądka, jakie dokuczały jej w tym czasie niemal każdego dnia - Caitlin Bodine nieodmiennie dochodziła do wniosku, że pewnie nie wytrzymałaby nerwowo i fizycznie, i powiększyłaby, jak to się zazwyczaj delikatnie mówi, grono aniołków, nie doczekawszy nawet okresu dojrzewania, gdyby nie przyjaźń z Maddie, czyli z Madison St. John, jej rówieśnicą i kuzynką.

Jej matka była kobietą lekkomyślną, żądną ekscytujących przygód i nieustannych atrakcji, uwielbiającą wesołe towarzystwo i zagraniczne wojaże. Rosalind St. John, z domu Chandler, rodzona siostra zmarłej Elainy, pozostawiła córkę pod opieką babki w Coulter City. Maddie czuła się tam równie samotna i nieszczęśliwa, jak Caitlin.

Gara Chandler bowiem tak samo ignorowała wnuczkę, jak Jess Bodine córkę.

Obydwu dziewczynkom brakowało zatem ze strony dorosłych miłości, ciepła, serdeczności i bodaj odrobiny zainteresowania.

Obydwie miały wprawdzie w swoich zamożnych domach zapewniony dach nad głową, ubranie i wikt, natomiast żadnej z nich nigdy nie okazywano serca.

Głód uczuć, u obu dziewcząt w równym stopniu intensywny i bolesny, sprawił, że Maddie i Caitlin przyłgnęły do siebie i stały się nierozłączne, niczym bliźniacze siostry. Wspierały się we wszystkich trudnych chwilach, pocieszały, podnosiły na duchu. Czyniły to intuicyjnie i często po dziecięcemu nieporadnie, jednak z reguły zadziwiająco skutecznie!

Trzymając się razem i nie poddając się przeciwnościom, przetrwały jakoś trudne dzieciństwo. A potem równocześnie wkroczyły w wiek dojrzewania i solidarnie zaczęły się zmagać z jego również niełatwymi problemami. Wciąż wspomagały się nawzajem i nigdy nie wchodziły sobie w paradę.

Nawet kiedy w Broken Ground pojawili się bracia Duvallowie i Caitlin po jakimś czasie zadurzyła się w starszym z nich, Reno, to Maddie, dla odmiany, straciła głowę dla młodszego, Beau.

Tragiczna śmierć Beau Duvalla zniszczyła łączącą je od wielu lat serdeczną więź.

Podobnie jak Jess Bodine czy Reno Duvall, Maddie St. John obarczyła bowiem Caitlin całą winą za to, co się stało. I nie pozwoliwszy niczego sobie wyjaśnić, dosłownie z dnia na dzień zerwała z nią wszelkie kontakty.

Caitlin straciła w ten sposób jedyną bliską osobę na świecie i została zupełnie sama.

Wypchnięta przez ojca z domu niemal siłą, dotarła aż do dalekiej Montany i tam, w rejonie rzeki Missouri i kanadyjskiej granicy, znalazła sobie pracę z mieszkaniem na dużej farmie. Usamodzielniła się, wyrosła, wróciła do równowagi.

Po pięciu latach, mimo osamotnienia i braku kontaktów z rodziną, czuła się w nowym miejscu i wśród nowych ludzi już całkiem pewnie i bezpiecznie.

Wciąż jednak, żyjąc i pracując na północy, w głębi serca tęskniła za południem.

Za słonecznym Teksasem.

Za niewielkim, sennym, prowincjonalnym Coulter City, gdzie w odziedziczonym po babce Clarze domu mieszkała Maddie St. John.

I za ogromnym, obejmującym czterdzieści tysięcy akrów ziemi ranczem Broken Ground, prowadzonym w zasadzie w pojedynkę przez Reno Duvalla.

Jeżeli komukolwiek spoza rodziny coś się należy po ojcu - rozmyślała Caitlin, siedząc wciąż w poczekalni szpitalnego laboratorium i czekając na wezwanie do gabinetu - to tylko jemu, za wiele lat ciężkiej pracy na gruntach Bodine'ów.

Ale przede wszystkim coś po ojcu należy się mnie! Bez względu na to, czy ten przeklęty test wykaże, że naprawdę jestem jego córką.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po poddaniu się badaniom krwi, Caitlin Bodine od razu opuściła szpital i wsiadła w zaparkowany przed głównym wejściem samochód, który wynajęła sobie na lotnisku w San Antonio bezpośrednio po przylocie z Montany.

Pojechała prosto do motelu. Chciała odpocząć i trochę się odświeżyć.

Nie miała zresztą gdzie się podziać w Coulter City, nie miała kogo odwiedzić, a krążenie po sennym, prowincjonalnym miasteczku, w gorące teksańskie popołudnie, wydawało się jej zupełnie pozbawione sensu.

Kiedy zmęczona lotniczą podróżą z Montany i panującym w Teksasie upałem, od którego przez pięć lat zdążyła odwyknąć, a przede wszystkim przytłoczona wrażeniami ostatnich kilku godzin, Caitlin Bodine znalazła się w swoim pokoju w motelu, zamknęła za sobą drzwi na klucz, wyłączyła telefon, zrzuciła z siebie ubranie, bez sił padła na łóżko i niemal natychmiast usnęła.

Obudziło ją głośnie pukanie. Zdezorientowana, ocknęła się i otworzyła oczy, a oprzytomniawszy gwałtownie, stwierdziła ze zdumieniem, że wokół niej jest zupełnie ciemno.

Włączyła nocną lampkę i krzyknęła:

- Chwileczkę!

Zerwała się z łóżka na równe nogi. W nerwowym pośpiechu narzuciła na gołe ciało kusy, lekki szlafroczek i na bosaka podbiegła do drzwi.

Przekręciła klucz w zamku i ostrożnie je uchyliła.

W mocno oświetlonym korytarzu, wsparty niedbale jedną ręką o framugę, stał Reno Duvall.

- To ty? - wykrztusiła trochę bez sensu zaskoczona Caitlin, bynajmniej nie kwapiąc się z wpuszczeniem go do środka.

- A któżby inny? - mruknął.

- Myślałam, że ktoś z obsługi.

- O tej porze?

- A która to właściwie godzina?

- Późna, już po dziewiątej - odpowiedział Reno. - Nie niepokoiłbym cię, ale ojcu się pogorszyło i lekarz kazał zawiadomić rodzinę. Powiedział, że Jess może nie przetrzymać tej nocy...

- Boże!

- .. .więc szybko dałem znać Maddie St. John - mówił dalej - i zaraz potem zacząłem wydzwaniać tu do ciebie, do motelu. Ale telefon nie odpowiadał...

- Wyłączyłam go.

- Dlatego wsiadłem w samochód i przyjechałem. Ubieraj się! Zawiozę cię do szpitala.

- Sama mogę pojechać.

- Tak czy inaczej, ubieraj się i chodź, bo nie wiadomo, ile czasu jeszcze mu zostało.

- Zaraz będę gotowa, tylko się trochę ogarnę.

- To ja zaczekam - stwierdził Reno i nie czekając na zaproszenie ze strony Caitlin, bezceremonialnie wpakował się do jej pokoju.

Zebrała porozrzucane tu i ówdzie części swojej garderoby i schroniła się w łazience.

Reno Duvall przysiadł na krześle. Słyszając zza ściany szum prysznic, ku własnemu ogromnemu zdziwieniu z miejsca wyobraził sobie Caitlin Bodine... zupełnie naga.

Otóż to!

Wyobraził ją sobie nie w całkowicie pozbawionym wdzięku, bezpłciowym stroju, jaki niezmiennie nosiła mieszkając przed laty w Broken Ground, czyli w dżinsach, kowbojskich trzewikach i obszernej męskiej koszuli w kratę, nie w eleganckim i dopasowanym do figury letnim damskim kostiumiku, jakim go zaskoczyła, kiedy spotkali się przed kilkoma godzinami w holu szpitala, ani nawet nie w sięgającym zaledwie do pól uda cieniutkim szlafroczk, w którym ją widział przed chwilą.

Tylko kompletnie bez niczego!

Śmiała wizja całkowicie go zaskoczyła, albowiem tak się składało, że jakoś nigdy dotąd nie myślał o Caitlin jako o kobiecie.

Kiedyś była dla niego jedynie niewydarzoną i denerwującą podfruwajką, którą jakimś przypadkowym i dość fatalnym w jego mniemaniu zrzędzeniem losu przyszło mu tolerować jako przyszywaną siostrę.

Potem, po śmierci Beau, stała się po prostu wrogiem i w związku z tym zupełnie utraciła w jego oczach jakiegokolwiek przymioty płci.

I oto nagle je odzyskała!

Reno Duvall, chcąc nie chcąc, zauważył, że jego nienawistny wróg ma ładne oczy, zgrabne nogi, kształtny biust.

I ni stąd, ni zowąd, w zasadzie wbrew własnym chęciom, zaczął wyobrazać sobie to, czego nigdy nie miał okazji zobaczyć, zaczął: fantazjować na temat szczegółów ponętnej ciała *Catlin*, które kusy i cienki szlafroczek maskował wystarczająco sugestywnie, by pobudzić męską wyobraźnię do nie kontrolowanego działania.

- Zgiń, przepadnij! - syknął zirytowany, chcąc się opędzić od tyleż ponętnej, co natrętnej wizji zgrabnej czarnowłosej naguski pod prysznicem.

Ta wizja była przecież z wielu względów niestosowna i absolutnie nie licowała z powagą sytuacji.

Tam w szpitalu dogorywa człowiek - pomyślał z wyrzutem Reno - a ja tu sobie jakby nigdy nic pozwalałam na jakieś rojenia.

- Tfu! Zgiń, przepadnij - powtórzył.

I wściekły na samego siebie, wyładował się na Caitlin.

- Pośpiesz się! - krzyknął. - Bo ojciec skona, a ty jeszcze będziesz się pluskać!

Szum prysznicza ucichł. Nie później niż po minucie Caitlin wyszła z łazienki, ubrana w dżinsy i sportową bluzkę.

- Jestem gotowa - stwierdziła.

- Masz mokre włosy - zauważył łagodnym tonem Reno, któremu nagłe zrobiło się trochę głupio, że przed chwilą zgromił ją bez powodu.

- Wyschną - mruknęła. - Jedźmy już!

- Wsiądziesz ze mną?

- Tak, bo ręce mi się trzęsą.

Drobne dłonie Caitlin Bodine w istocie lekko drżały, podobnie jak kąciki ust. Ze zdenerwowania była ponadto przeraźliwie blada, prawie sina, a oddychając, z wyraźnie widocznym wysiłkiem chwytiała powietrze.

- Boisz się o ojca? - spytał Reno.

- To też. Ale najbardziej się boję, że mój ojciec nie wykorzysta ostatniej szansy na pojednanie się ze mną - odpowiedziała.

Wyszli z pokoju.

Na parkingu Reno otworzył przed Caitlin drzwi swojego samochodu, terenowej furgonetki i gestem zaprosił ją, by wsiadła.

Zajęła miejsce w fotelu przeznaczonym dla pasażera. Reno zatrasnął drzwi, wskoczył za kierownicę, przekręcił

kluczyk w stacyjce i wciskając pedał gazu niemal do oporu, brawurowo, z piskiem opon ruszył sprzed motelu.

- Do licha, nie wiadomo, ile jeszcze czasu mu zostało - mruknął niejako na usprawiedliwienie, kontynuując kawaleryjską jazdę ulicami Coulter City, na szczęście raczej opustoszałymi z uwagi na późną, jak na prowincjonalne miasto, porę.

W szpitalu byli, wedle wskazań znajdującego w głównym holu ściennego zegara, dokładnie o wpół do dziesiątej. W pośpiechu wpadli do windy i wjechali na górę.

Przed wejściem na oddział intensywnej terapii natknęli się na jednego z lekarzy.

- I co, doktorze? - spytał Reno, zatrzymując się i przytrzymując Caitlin za łokieć, by nie pędziła dalej i również zaczekała.

- Niesamowicie mi przykro, proszę państwa - usłyszeli w odpowiedzi. - Mniej więcej przed dziesięcioma minutami nastąpił zgon.

Caitlin poczuła, że ręce i nogi drętwieją jej i robią się zimne jak lód. Tylko przedramię, w miejscu, w którym Reno Duvall zacisnął nagle dłoń, mocniej niż przed chwilą paliło ją, jak dotknięte żywym ogniem.

- Jak to... zgon? - wykrztusiła.

- Niesamowicie mi przykro, proszę państwa - powtórzył lekarz. - Ale przecież byliście państwo uprzedzeni przez personel szpitala, że stan chorego jest beznadziejny i że to już ostatnie chwile.

- Ale jak on mógł umrzeć bez odwołania tych wszystkich okropnych rzeczy, które mi dzisiaj nawygadywał, panie doktorze! - wykrzyknęła histerycznie Caitlin, całkowicie tracąc panowanie nad sobą. - Jak mógł umrzeć bez próby pojednania!

Dotychczasowa bladość na jej twarzy ustąpiła nagle miejsca intensywnemu rumieńcowi.

Odzyskawszy czucie i władzę w nogach i rękach, Caitlin wyszarpnęła się Reno Duvallowi i po trosze wymijając, a po trosze odpychając lekarza, który stał jej na drodze, wpadła na oddział.

Reno ruszył za nią i tuż za wahadłowymi drzwiami znów złapał ją za rękę.

- Puść mnie! - krzyknęła. - Muszę do niego wejść!

- Już nie masz po co - stwierdził stłumionym głosem, przytrzymując ją żelaznym uściskiem muskularnej dłoni i nie pozwalając ruszyć się z miejsca. - Twój ojciec przecież już nie żyje.

Caitlin opuściła głowę. Przestała się wyrywać i wyszeptała z rezygnacją:

- Umarł i nie powiedział mi nic miłego. Nigdy nie powiedział mi nic miłego, ani przez całe życie, ani nawet tuż przed śmiercią. A przecież mógł mi coś w końcu powiedzieć, mógł się w końcu do mnie odezwać jak człowiek, nawet jeśli nie jestem jego córką.

Rozplakała się. Reno puścił jej rękę.

- Wracajmy - zaproponował. - Duszą i uczynkami świętej pamięci Jessa Bodnie'a zajmie się teraz sam Pan Bóg - stwierdził dźwięcznym, kaznodziejskim tonem. - A jego ciałem zajmą się fachowcy z zakładu pogrzebowego - dodał ciszej. - Nam pozostaje tylko czekać, aż czas ukoji nasz ból i uleczy nasze rany. Odwiozę cię, zgoda?

Caitlin skinęła głową.

Poczuła się nagle całkowicie bezsilna, półprzytomna, bliska omdlenia.

Świat zawirował jej przed oczyma, zaczęła trząść się na całym ciele jak w febrze.

Zrobiło się jej całkowicie obojętne, co robi, gdzie jest, dokąd idzie.

Marzyła tylko o jednym: żeby położyć się i usnąć.

Gdziekolwiek.

Byle spać.

Byle o niczym nie myśleć, niczego nie pamiętać, nad niczym się nie zastanawiać, nic nie wiedzieć.

Tylko spać.

Dlatego pozwoliła Reno Duvallowi wziąć się pod ramię i zaprowadzić do samochodu. Pozwoliła mu zawieźć się do motelu i niemal natychmiast, po spakowaniu jej rzeczy, stamtąd zabrać.

- Jakoś zbyt kiepsko wyglądasz, żebyś mogła zostać tutaj sama - oświadczył jej. - Pojedziemy razem do Broken Ground, zgoda?

Bezwolnie skinęła głową.

Było jej wszystko jedno, gdzie spędzi noc.

Chciała tylko jednego: usnąć.

Kiedy się obudziła następnego dnia, po raz pierwszy od pięciu lat w rodzinnym domu na ranczu, w swoim dawnym pokoju i w swoim dawnym łóżku, była już prawie dziewięta.

Przespałam dziesięć godzin, jak nigdy, uzmysłowiła sobie. Widocznie u siebie śpi się najlepiej, bez względu na wszystko.

U siebie? - zastanowiła się. A może raczej... u ojca?

Nie! - zdecydowanie odrzuciła tę myśl. Ojciec przecież nie żyje.

Więc może u Reno?

W żadnym wypadku! - obruszyła się w duchu. Jestem u siebie, w domu, w którym się urodziłam i wychowałam, w domu, który mi się słusznie należy, przynajmniej w połowie, po matce. Bez względu na testament ojca i te przeklęte testy krwi!

Wstała i ubrała się.

Czuła się trochę onieśmielona i początkowo nie miała wcale chęci wychodzić z pokoju. Dość szybko doszła jednak do wniosku, że powinna zaznaczyć swoją obecność w domu, który uważa za własny.

Uchyliła drzwi i ostrożnie wysunęła się na korytarz.

Nie natknęła się na nikogo.

Zacząła się więc przechadzać po obszernym domostwie, z początku trochę niepewnie, lecz z każdą chwilą coraz odważniej.

Zajrzała do kilku pokoi.

Wszędzie panował wzorowy porządek. Reno Duvall najwyraźniej dbał o dom, chociaż niczego w nim nie odnawiał ani nie zmieniał.

Wszystkie wnętrza wyglądały tak, jak przed pięciu laty, kiedy Caitlin oglądała je po raz ostatni. Czyli mniej więcej tak, jak zawsze, dokąd sięgała pamięcią. Albowiem dom w Broken Ground urządziła wedle swego gustu Elaina, zaraz po ślubie z Jessem, a on również nigdy nie wprowadził w nim żadnych zmian, ani po jej śmierci, ani później, po swoim drugim ożenku.

Wszystko zostawił tak, jak było.

Usunął tylko osobiste rzeczy pierwszej żony. No i jej portret, a także zdjęcia, co do jednego, choć było ich sporo, jak mgliście przypominała sobie Caitlin, w ramkach, w pudełkach, w albumach.

Co ojciec mógł z tymi wszystkimi fotografiami zrobić? - zaczęła się zastanawiać, idąc powoli przez główny, frontowy hol w kierunku kuchni usytuowanej na tyłach domu, gdzie spodziewała się znaleźć coś do jedzenia i zastać kogoś z obecnych domowników.

Gdyby je oddał babce Clarze, na pewno dowiedziałybyśmy się o tym z Maddie przy jakiejś okazji,

rozumowała. Czyżby więc je zniszczył? A może po prostu zebrał wszystkie razem i gdzieś schował?

Boże! Gdyby tak mi się udało na nie teraz natknąć, rozmarzyła się.

Tymczasem jednak natknęła się tylko na Reno Duvalla, który zmierzał w stronę kuchni z bocznego skrzydła domu i właśnie wyłonił się zza zakrętu korytarza.

Na jej widok zatrzymał się. Spojrzał na nią uważnie i powiedział:

- Wyglądasz znacznie lepiej niż wczoraj wieczorem. Wzruszyła ramionami.

- Podobno ranek jest mądrzejszy od wieczora, więc może i ładniejszy - rzuciła z odrobiną ironii.

- A głodniejszy na pewno! - stwierdził, podchwytyjąc jej ton.

Caitlin zmarszczyła lekko brwi.

Zerknąwszy ostrożnie spod na pół przymkniętych powiek na Reno Duvalla, odniosła dziwne wrażenie, że cierpkim, znaczącym półuśmieszkiem stara się on powiedzieć jej coś więcej, niż samymi słowami i że mówiąc o głodzie, ma na myśli nie tylko apetyt na poranny posiłek.

- Czyżby? - bąknęła speszona.

- Jasne! Dlatego nie stójmy tutaj już dłużej bez potrzeby, tylko wejdźmy do kuchni, bo Mary czeka ze śniadaniem.

- Mary? - zdziwiła się. - Nie Corrie?

- Corrie już nie pracuje w Broken Ground, odeszła na zasłużoną emeryturę w zeszłym roku. A Hannah dwa lata temu - wyjaśnił Reno.

- Ach, tak! Więc jednak coś się tutaj zmieniło - mruknęła Caitlin ni to do niego, ni to sama do siebie.

Corrie była dawniej w Broken Ground kucharką, a Hannah pokojówką. Obydwie podjęły pracę w domu Jessa Bodine'a wkrótce po śmierci jego pierwszej żony Elainy,

obydwie od samego początku nieszczerze przepadały za córką pryncypała i obydwie wielokrotnie dawały jej to odczuć. Natomiast jego przybrani synowie z drugiego małżeństwa zdobyli sobie ich sympatię i względy już od pierwszego dnia pobytu w Broken Ground.

Corrie i Hannah faworyzowały zwłaszcza Beau. Po jego śmierci ich kiepsko tajona wieloletnia niechęć w stosunku do Caitlin przerodziła się w otwartą wrogość.

Obie kobiety, podobnie jak Jess, Reno, Maddie i wiele innych osób z najbliższego otoczenia, uznały bowiem, że młodszy z braci Duvallów zginął z jej winy. I obie były wyraźnie usatysfakcjonowane, kiedy ojciec wyrzucił ją z domu.

Caitlin pokręciła w zamyśleniu głową i leciutko uśmiechnęła się do własnych myśli. Wiadomość o odejściu z Broken Ground dwóch wszechwładnych jędz, Corrie i Hannah, na emeryturę czy dokądkolwiek, choćby do diabła, w żadnym wypadku nie była dla niej złą wiadomością.

Reno w milczeniu otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do kuchni.

Weszła i przywitała się z Mary, sympatycznie wyglądającą, prostolinijną i z natury dość wylewną kobietą w średnim wieku, która, wyraźnie poruszona zarówno wczorajszą śmiercią pryncypała, jak i dzisiejszym spotkaniem z jego nigdy dotychczas nie widzianą córką, zatrajkotała, ściskając jej rękę:

- Bardzo mi przyjemnie, panno Bodine. To znaczy bardzo mi przykro. Znaczy, żałuję, że pan Jess od nas odszedł - sprecyzowała - ale cieszę się z pani powrotu! Proszę siadać, śniadanko już gotowe.

Caitlin uśmiechnęła się, wypowiedziała jakąś grzecznościową powitalną formułkę i zajęła wskazane jej

przez gosposię honorowe miejsce w szczycie kuchennego stołu.

Reno usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie długiego, dwumetrowego mniej więcej blatu z naturalnego, wyszorowanego do białości drewna.

Mary podała jajecznicę.

Caitlin, zdając sobie doskonale sprawę, że jest uważnie, w milczeniu obserwowana przez mężczyznę, który mimo zastarzałej urazy zdecydował się dzielić z nią stół, poczuła się wyjątkowo niezręcznie.

Jeśliby Reno Duvall zignorował ją i zostawił samą, byłoby jej łatwiej.

Gdyby okazał jej jawną wrogość, prawem paradoksu również byłaby swobodniejsza, gdyż przynajmniej wiedziałaby, czego może się z jego strony spodziewać.

A tak, miała niemiłe wrażenie, że jego wzrok paraliżuje ją i przeświecła, obnażając najskrytsze myśli, ale nie mogła się przed tym bronić - ironią, złościwością czy wybuchem gniewu - bowiem Reno był bez zarzutu w roli gościnnego i troskliwego gospodarza, w jaką nieoczekiwanie wszedł poprzedniego wieczora.

Zaczęli jeść.

Mary pokręciła się jeszcze przez chwilę po kuchni, upewniła się, że mają na stole wszystko, czego im potrzeba, łącznie z aromatyczną kawą w dużym dzbanku, śmietanką w małym dzbanuszką i cukrem w cukiernicy, po czym dyskretnie wyszła, zostawiając ich samych.

Napięcie sięgnęło zenitu.

Caitlin zorientowała się, że widelec drży jej w ręku, a przeżuwany właśnie kęs chleba rośnie w ustach i zaczyna nieznośnie dławić, sięgnęła więc po dzbanek i nalała sobie do filiżanki trochę kawy.

Wypiła parę łyków, odkaszlnęła nerwowo i chcąc przerwać milczenie, panujące pomiędzy nią a Reno od momentu wejścia do kuchni, czyli od dobrych kilkunastu minut, zapytała:

- Kiedy pogrzeb?

- Pojutrze - odpowiedział jednym słowem.

- Zaczekam tu w Broken Ground, jeśli pozwolisz. Przypomnę sobie, jak wygląda ranczo.

- A może raczej zajmiesz się pochówkiem ojca? - rzucił sarkastycznie, przeszywając nagle Caitlin ostrym jak nóż spojrzeniem.

- Nie! - stwierdziła zdecydowanie. - Jestem pewna, że on by tego nie chciał, że wolałby nadal trzymać mnie na dystans. Więc lepiej ty przygotuj mu pochówek.

- Ale to ty jesteś jego córką - podkreślił Reno.

- No i co z tego? - zachnęła się. - On nigdy nie chciał córki, którą miał, tylko synów, których nie miał. Więc kiedy znalazł sobie ciebie i Beau...

Umilkła spłoszona w pół zdania, kiedy na dźwięk imienia zmarłego tragicznie brata Reno zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że omal nie przewrócił sporego i dość ciężkiego stołu.

- Nie waż się nigdy więcej mówić o Beau! - ryknął. - Nie masz prawa!

Napastliwy wybuch Reno Duvalla w pierwszej chwili sparaliżował i przeraził Caitlin. W gruncie rzeczy jednak sprawił, że znalazła się w sytuacji przez swoją jednoznaczność znacznie korzystniejszej niż ta, w jakiej znajdowała się jeszcze przed chwilą, czyli wtedy, gdy on ukrywał swoje prawdziwe myśli za zasłoną grzecznościowych gestów i kurtuazyjnego milczenia. Teraz wiedziała już przynajmniej, czego może się spodziewać i co powinna w związku z tym robić.

Bronić się!

I to najlepiej przez atak!

Rzuciła rozjuszonemu mężczyźnie lodowate spojrzenie i syknęła:

- Wyjdź i nie słuchaj, co mówię, skoro tak cię drażnią moje słowa.

- Nie muszę - warknął z furją, lecz jednak nieco ciszej, niż przed chwilą. - Jestem u siebie.

- Jesteś u siebie najwyżej jedną nogą – zauważyła zjadliwie. - No, bo przecież ten dom w połowie należy do mnie...

- Jeszcze nie wiadomo!

- .. .a należałby do mnie w całości, gdyby nie trudne do zrozumienia dziwactwo mojego ojca - dokończyła spokojnie, ignorując informację o narzuconych jej testamentem Jessa Bodine' a testów krwi, których wyniki nie zostały jeszcze opracowane przez laboratorium.

Chłodna nieustępliwość Caitlin Bodine, wsparta niepodważalną logiką jej stanowiska w kwestii spadku, onieśmieliła Reno Duvalla.

Umilkł, usiadł i zajął się swoim nie dokończonym jeszcze śniadaniem.

Natomiast ona, czując, że z powodu zdenerwowania i tak już niczego więcej tego poranka nie przełknie, dla odmiany odstawiła talerz i wstała od stołu.

- Wezmę konia i przejadę się trochę po ranczu - rzuciła, kierując się w stronę drzwi. - Sam zajmij się przygotowaniami do pogrzebu swojego dobroczyńcy! - dodała z gryzącą, gorzką ironią.

Opuściła kuchnię, wpadła na chwilę do pokoju po kapelusz i wybiegła z domu na podwórze.

Rozejrzała się uważnie, sprawdzając, czy po obejściu nie kręci się przypadkiem Reno, po czym, nie spostrzegłszy go nigdzie na horyzoncie, ruszyła do stajni.

Od dziecka lubiła tam przebywać. Zawsze uwielbiała konie i miała do nich znakomite podejście. Dlatego więc cieszyła się sympatią, a nawet swego rodzaju podziwem czy szacunkiem kowbojów.

Szorstcy, mrukowaci, kiepsko wyedukowani, nierzadko wręcz gruboskórni i ordynarni mężczyźni, zarabiający na dach nad głową, codzienny wikt i świąteczny kufel piwa czy szklaneczkę whisky ciężką pracą na ranczu, szczerze podziwiali wrodzony talent jeździecki córki szefa i potrafili czasem zdobyć się wobec niej na serdeczność, jakiej brakowało jej zarówno ze strony ojca, jak i ze strony zatrudnionych w Broken Ground kobiet.

Pięć lat temu, w toku śledztwa związanego z utonięciem Beau Duvalla, do którego to tragicznego wypadku, zdaniem ojca, macochy, Reno, Maddie St. John, Corrie, Hannah i jeszcze kilku innych osób z najbliższego otoczenia, Caitlin miała rozmyślnie - a przynajmniej lekkomyślnie - doprowadzić, kowboje solidarnie zeznawali przed miejscowym szeryfem i przed sędzią na jej korzyść.

Kowboje zegnali ją też przed pięciu laty z podejrzenie wilgotnymi oczyma, kiedy zaszczuta i wyklęta przez rodzinę, która nie przyjęła do wiadomości uniewinniającego ją werdyktu przedstawicieli prawa, opuszczała Broken Ground i w ogóle Teksas, udając się na banicję.

Byłoby miło przywitać się teraz z chłopakami! - pomyślała, wchodząc do stajni.

Po pierwsze, nie natknęła się jednak na żadnego z nich. A po drugie, uświadomiła sobie dość szybko, że trzech kowboje, z którymi pozostawała w najlepszej komitywie, z niejakim Lucky'm Reedem na czele, byli w momencie jej wyjazdu „chłopakami” po pięćdziesiątce i mogli tymczasem odejść na emeryturę.

Niektórych koni, jakie Caitlin pamiętała sprzed pięciu lat, również już w stajni nie było.

Wspaniałe, dorodne i szybkie, obdarzony siłą i temperamentem czempiona torów wyścigowych kary ogier, ulubiony, choć trochę narowisty wierzchowiec ojca, królował tu jednak nadal.

Przywitał ją nawet przyjaznym parsknięciem, zupełnie jakby rozpoznawał znajomą osobę. I bez oporu pozwolił założyć sobie na grzbiet siodło Jessa Bodine'a, które znalazła tam, gdzie ojciec przechowywał je zawsze, czyli na specjalnej drewnianej półce w przylegającym do stajni i połączonym z nią wewnętrznymi drzwiami magazynie i zarazem warsztacie rymarskim.

Skoro ten ogier miał cztery lata, kiedy wyjeżdżałam z Broken Ground, to teraz ma dziewięć, uzmysłowiła sobie Caitlin, wyprowadzając wierzchowca ze stajni. Wedle końskiego kalendarza nie jest więc już młodzieńcem, tylko dojrzałym panem i w związku z tym powinien być spokojniejszy, bardziej zrównoważony.

Ogier w istocie zachowywał się godniej, niż niegdyś, był bardziej zdyscyplinowany i znacznie mniej skłonny do zwariowanych i złośliwych figli.

Na szybkości i skoczności ani odrobinę jednak nie stracił. Caitlin przekonała się o tym wkrótce, pędząc „co koń wyskoczy” na jego grzbiecie prosto przed siebie poprzez odludne i dzikie bezdroża rozległego, sięgającego daleko poza horyzont, terytorium rancza Broken Ground.

Im bardziej oddalała się od domu, tym czuła się swobodniej i pewniej.

Zawsze tak było.

W domu albo ją strofowano, albo ignorowano. Natomiast przyroda odnosiła się do niej, jakby tytułem rekompensaty za domowe przykrości, wyjątkowo dobrotliwie i życzliwie.

Nigdy przecież nic złego jej się nie przytrafiło podczas dalekich i ryzykownych samotnych eskapad, które podejmowała raz po raz, pieszo lub konno, jako wiecznie zbuntowana nastolatka.

Nie zrzucił jej z grzbietu żaden, najbardziej nawet narowisty koń.

Nie zaatakowało, ani nawet nie wystraszyło, żadne dzikie zwierzę.

Nawet teksańska aura była dla niej zazwyczaj łaskawa, bez względu na porę roku, oszczędzając jej zarówno słonecznego udaru latem, jak i przemarznięcia zimą czy zbyt dotkliwego przemoknięcia w czasie jakiejś wiosennej lub jesiennej nawałnicy.

Dlatego więc Caitlin Bodine nigdy nie przepadała za domem w Broken Ground, w którym niezmiennie rządziły obce i nieprzychylnie wobec niej ustosunkowane kobiety: najpierw Corrie i Hannah, a potem także Sheila Duvall.

Od salonów wolała stajnie i towarzystwo kowbojów, a od babskich domowych zajęć - konną jazdę po bezdrożach i biwakowanie w najdzikszych ostępach rancza, z dala od ludzi, z którymi nie mogła dojść do porozumienia.

Jedną z jej niegdyś ulubionych, sekretnych samotni była głęboka skalna nisza, wyżłobiona przez wodę w urwistej, niemal pionowej ścianie kanionu.

Nie zdobyła się jednak w tej chwili na to, żeby odwiedzić miejsce, w którym utonął przed pięciu laty Beau Duvall. Zawróciła konia u wylotu kanionu i skierowała go w stronę starej drewnianej chaty.

W dawnych, pionierskich czasach, na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia, owa chata była farmerskim domostwem. Potem, opuszczona, popadła w ruinę.

Dach się zawalił i pozostały tylko ściany z grubych bali oraz sterczący samotnie pośrodku rumowiska kamienny komin, wraz z resztkami starego chlebowego pieca.

Wykorzystując komin jako maszt, Caitlin skonstruowała sobie kiedyś w obrębie wiekowej ruiny coś w rodzaju bungalowu czy altany.

Nowe zadaszenie z brezentu chroniło ją tam od słońca i deszczu, stare drewniane ściany osłaniały od wiatru, a wszystko razem tworzyło przytulny azyl, w którym jako nastolatka mogła się swobodnie wypłakać, rozmarzyć albo po prostu sobie poleniuchować.

Czy coś z tego jeszcze zostało? - zastanawiała się teraz z zaciekawieniem i niepokojem, zmierzając w stronę chaty. Czy komin się przypadkiem nie rozsypał, a ściany nie przegniły albo nie spłonęły od pioruna w czasie burzy?

Odetchnęła z ulgą, kiedy spostrzegła, że wszystko stoi jak stało na swoim miejscu i tylko prowizoryczny płócienny dach zniknął, najpewniej porwany przez wiatr.

Caitlin zatrzymała konia. Zsiadła i rozluźniła mu popręg, a po chwili w ogóle zdjęła siodło, pozwalając karemu swobodnie skubać trawę w pobliżu chaty. A sama, przez otwór w ścianie, w którym kiedyś osadzone były drzwi, weszła do środka.

Mimo woli przepłoszyła wróble, które urządziły sobie siedlisko w nie używanym kominie, z rozmysłem sprawdziła, czy gdzieś w zakamarkach malowniczej ruiny nie ma węży. Po czym przysiadła w obrębie magicznego kręgu, a ściśle rzecz ujmując, prostokąta, wyznaczonego przez cztery ściany niegdysiejszego domostwa.

Magia tego miejsca zawsze pobudzała ją do marzeń, wspomnień i rozmyślań. Tak było również teraz.

Caitlin Bodine zaczęła analizować swoje życie.

Czy to możliwe, że nie jestem naturalną córką Jessa Bodine'a, człowieka, po którym odziedziczyłam nazwisko, tylko owocem grzesznego zauroczenia mojej matki, pięknej Elainy, jakimś innym mężczyzną? - zastanawiała się. Czy ojciec naprawdę miał powody, żeby przez całe życie powątpiewać w wierność matki?

A jeśli nawet - zastanawiała się dalej - to czy postępował uczciwie, wychowując mnie w swoim domu jako własne dziecko, a równocześnie odmawiając mi bodaj odrobiny serca, ignorując mnie i wręcz brzydząc się mną jako żywym dowodem grzechu żony i własnej hańby?

Ja przecież nie jestem tu niczemu winna! - stwierdzała w duchu z przekonaniem. Podobnie, jak nie jestem winna śmierci ojcowskiego ulubieńca, Beau Duvalla.

Ten trzpiotowaty Beau po prostu opętał ojca, ledwie się zjawił w Broken Ground jako dziesięcioletni chłopak. Nie jego jednego zresztą. Wszyscy mieszkańcy domu wynosili go pod niebiosa i stawiali na piedestale, choć tak naprawdę był cyniczny, złośliwy i okrutny. Umiał się jednak sprytnie maskować. Matce, Corrie i Hannah się przypochlebiał, do Maddie się przymilał, starszemu bratu i ojczymowi kadził. Natomiast tłumioną agresję wyładowywał na Caitlin i na zwierzętach!

Reno był od samego początku zupełnie inny.

Stateczny, życzliwy, opiekuńczy. Naprawdę sympatyczny, chociaż straszliwie poważny, ze względu na usposobienie, a także z uwagi na wiek. Bo kiedy ona i jej rówieśnik Beau mieli po dziesięć lat, on liczył sobie już piętnaście i był niemal dorosły.

Jako dziecko Caitlin bardzo go lubiła, z zauważalną wzajemnością. Natomiast jako nastolatka zapałała do niego uczuciem, już niestety nie odwzajemnionym.

O pięć lat starszy Reno czuł się zapewne skrepowany tyleż natarczywymi, co nieporadnymi zalotami nastolatki, jej kierowanymi pod swoim adresem czułymi westchnieniami i tęsknymi, powłóczytymi spojrzeniami.

Obawiał się ośmieszenia. Zaczął się więc z rozmysłem izolować od Caitlin. A kiedy - przez nią, w jego błędnym mniemaniu - utonął Beau, przestał być jedynym sprawiedliwym w rodzinie i znienawidził ją tak samo, jak macocha i ojciec.

Gdyby nie obcy ludzie - kowboje, którzy złożyli w śledztwie zgodne z prawdą i korzystne dla Caitlin zeznania, wnikliwy szeryf Juno oraz sędzia, który umiał owe zeznania właściwie ocenić i wysnuć z nich odpowiednie wnioski - zaślepieni przez żal i gniew domownicy, z ojcem na czele, niechybnie wpakowaliby ją do więzienia. A tak, odwrócili się tylko do niej plecami i zmusili do opuszczenia Broken Ground.

Tylko?

Kiedy wyjechała z domu, z plecakiem i walizką, książeczką czekową i niewielką sumą pieniędzy odziedziczoną po zmarłej krótko przedtem babce, Clarze Chandler, tułała się przez kilka miesięcy jak potępieńiec po całych Stanach i chyba tylko cudem nie napytała sobie przy okazji biedy jeszcze gorszej niż ta, która na nią już spadła w związku z utonięciem Beau.

W końcu trafiła do Montany i tam na szczęście znalazła sobie w miarę bezpieczną przystań.

Podjęła stałą pracę na ranczu, spełniającym rolę ośrodka wychowawczego dla trudnej i zaniedbanej młodzieży, kierowanej tam na mocy orzeczeń sądowych lub administracyjnych decyzji opieki społecznej. Zajmowała się końmi i uczyła małych pensjonariuszy ośrodka.

Wspólne treningi jeździeckie, które dla sponiewieranych przez los dzieciaków miały być formą zajęć terapeutycznych, okazały się znakomitą terapią również dla niej.

Kiedy bowiem zorientowała się, jak ciężkie przeżycia i koszmarne sytuacje mieli za sobą jej podopieczni, ujrzała własne życiowe problemy, te praktyczne i te emocjonalne, w zupełnie innym świetle. Spostrzegła, że jej osobista sytuacja, jakkolwiek trudna i przykra, nie jest aż tak krytyczna, by nie dało się z niej wyjść obronną ręką.

Wtedy właśnie postanowiła zrobić wszystko, żeby nie poddać się rozpaczce, apatii, depresji, nostalgii ani żadnej innej, równie paskudnej pladze i nie przegrać gry z losem o stawkę najwyższą z możliwych: o własną przyszłość i własne życie.

Wzięła się więc w garść, przestała się użalać na swój los, natomiast zaczęła nad sobą intensywnie pracować, przy okazji pomagając innym.

Po pewnym czasie osiągnęła niezłe efekty: odzyskała utraconą chyba jeszcze w dzieciństwie, po śmierci matki, równowagę wewnętrzną, a w zewnętrznych kontaktach i relacjach z otoczeniem stała się bardziej otwarta, swobodna i naturalna, a także bardziej zdecydowana, pewna siebie i odporna. Asertywna, jak mówili psychologowie.

Dojrzała, usamodzielniała się i nabrała wiary w siebie. A tym samym, zupełnie nieoczekiwanie, nabrała również wiary w ludzi i wyrozumiałości dla popełnianych przez nich błędów.

Najprawdopodobniej właśnie dlatego była w stanie zdobyć się na napisanie przed kilkoma miesiącami najpierw pierwszego listu do ojca, a potem, mimo braku odpowiedzi, kilku następnych.

Dlatego też odważyła się przyjechać do Broken Ground na wezwanie Reno Duvalla.

I dlatego w tej chwili, znalazłszy się znowu, po pięciu długich latach nieobecności, w starej farmerskiej chacie na odludziu, w swojej ulubionej samotni, czuła, że ma w sobie dość sił, by w razie czego przeciwstawić się krzywdzącemu ją testamentowi Jessa Bodine'a i podjąć walkę o ranczo Broken Ground.

ROZDZIAŁ TRZECI

Było już dobrze po południu, kiedy Reno Duvall, który po załatwieniu w przedsiębiorstwie pogrzebowym w Coulter City wszystkich spraw związanych z pochówkiem Jessa Bodine'a kręcił się dosyć nerwowo i raczej chaotycznie po obejściu, nie mogąc jakoś zabrać się do żadnej poważniejszej roboty na ranczu, spostrzegł w Oddali Caitlin nadjeżdżającą na karym ogierze.

Siedziała w siodle dumnie wyprostowana i patrzyła przed siebie, nie rozglądając się ani trochę na boki. Zupełnie, jakby chciała w symboliczny sposób pokazać całą swoją postawą, że widzi przed sobą konkretny cel i będzie do niego zmierzać prostą drogą.

Tym celem jest ranczo Broken Ground, scheda po ojcu - uzmysłowił sobie Reno. - Wzięła już jego konia ze stajni i jego siodło. I w końcu zechce wziąć wszystko.

Ku własnemu zdziwieniu, Reno Duvall nie oburzył się zanadto na tę myśl. W głębi serca zgadzał się chyba ze stanowiskiem Caitlin, że to ona jest główną, prawowitą dziedziczką posiadłości Bodine'ów, Broken Ground. Bez względu na wyniki testów krwi, skoro od urodzenia figurowała we wszystkich dokumentach jako córka Jessa Bodine'a i nosiła jego nazwisko.

Jeżeli Jess miał jakieś uzasadnione wątpliwości - rozumował Reno - to mógł się bronić przed oficjalnym uznaniem za ojca, zanim jeszcze dzieciak przyszedł na świat albo zaraz potem. Mógł na przykład zażądać od wiarołomnej

żony rozwodu. Albo domagać się przeprowadzenia tych testów bezpośrednio po narodzinach Caitlin.

Tymczasem on dławił w sobie tę sprawę przez dwadzieścia trzy lata i wyskoczył z nią dopiero tuż przed śmiercią, w testamencie. To nie było w porządku z jego strony, konkludował w myślach Reno. Skoro nie rozwiązał swojego problemu, kiedy była odpowiednia pora, powinien był postąpić honorowo i zabrać ten problem ze sobą do grobu. A posiadłość zapisać córce.

Chwileczkę, tylko co ja bym wtedy ze sobą zrobił? - zastanowił się Reno.

Wciąż przyglądając się Caitlin, która zbliżała się niezbyt szybko, gdyż ze względu na upał pozwoliła koniowi iść stępa, wzruszył ramionami i rzucił buńczuczny tonem sam do siebie:

- Jakoś tam byś sobie przecież poradził, Duvall, nie ma strachu!

Zawsze mógł przecież wrócić na niewielką rodzinną farmę w pobliżu San Antonio, która od momentu powtórnego zamążpójścia Sheili Duvall, czyli od trzynastu lat, pozostawała w dzierżawie.

Mógł również ubiegać się o posadę zarządcy Broken Ground, skoro przepracował na tym ranczu ładnych parę lat i znał je lepiej niż ktokolwiek inny.

Tę ostatnią ewentualność z miejsca jednak zdecydowanie odrzucił.

- To akurat odpada! - mruknął sam do siebie. - Miałbym pomagać w prowadzeniu rancza dziewczynie, przez którą zginął mój brat?

Myśl o zmarłym bracie automatycznie, na zasadzie trwale zafiksowanego skojarzenia, rozbudziła u Reno zadawnioną niechęć do Caitlin.

- Gdzie to byłaś tak długo? - warknął, kiedy znalazła się na dziedzińcu. - Na inspekcji?

Caitlin najpierw w milczeniu zsiadła z konia, a następnie odpowiedziała z godnością:

- Byłam na przejażdżce po ranczu. Chciałam sobie przypomnieć - dodała gwoli wyjaśnienia - jak wygląda miejsce, w którym się urodziłam i wychowałam, i z którego mnie niesprawiedliwie wygnano.

Nie zwracając uwagi na Reno i jego nachmurzoną minę, zaprowadziła konia do stajni, zdjęła mu siodło, wyszczotkowała grzbiet, sypnęła owsa i nalała świeżej wody do pojnika.

Kiedy znalazła się znowu na podwórku, Reno Duvalla już tam nie było. Natomiast w otwartych drzwiach domu stała gosposia, nawołując z daleka:

- Panno Bodine, proszę się pośpieszyć na obiad! Jest gotowy już od kilku godzin!

- Idę, Mary! - odkrzyknęła Caitlin. - Tylko się trochę ogarnę po drodze!

Weszła na chwilę do łazienki i szybko zameldowała się w kuchni.

Reno już siedział przy stole. Caitlin zajęła miejsce możliwie daleko od niego, wzięła sztucę i w milczeniu pochyliła się nad talerzem z apetycznie pachnącą zapiekanką.

Ledwie zdążyła przełknąć pierwszy kęs, Reno rzucił lakonicznie, nie spoglądając w jej stronę:

- Pożegnanie zmarłego jest jutro o siódmej wieczorem, a pogrzeb pojutrze o dziesiątej.

Caitlin odłożyła nóż i widelec.

- Na pogrzebie oczywiście będę, ale pożegnanie sobie daruję - oświadczyła.

- Nic z tego! - zaprotestował zdecydowanym, nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Przecież cała okolica się zbierze.

- No i właśnie dlatego mnie tam nie będzie! - wybuchnęła wyprowadzona z równowagi Caitlin. - Wiesz doskonale, że ja w opinii przeważającej większości tutejszych ludzi jestem...

Morderczynią! - chciała wykrzyknąć na końcu.

Złowrogo brzmiące słowo nie padło jednak z ust Caitlin, ponieważ Reno Duvall huknął z całych sił pięścią w blat stołu i przerwał jej w ten skuteczny, choć mało dyplomatyczny sposób. Po czym warknął:

- Musisz być na pożegnaniu!

- Nie będzie mnie! - trwała przy swoim.

- Będziesz, bo jesteś córką zmarłego - z chłodnym, stoickim spokojem i lodowatym błyskiem w oku stwierdził Reno. - A opinię w okolicy masz taką - dodał - na jaką sama sobie zasłużyłaś.

Boleśnie jaskrawa niesprawiedliwość tych słów poraziła Caitlin Bodine. Czując, że już dłużej nie utrzyma nerwów na wodzy i po prostu z żalu się rozplacze, a nie chcąc dać Reno Duvallowi satysfakcji i pozwolić, by ją zobaczył w chwili słabości, zerwała się od stołu, wybiegła z kuchni i schroniła się w swoim pokoju.

Na szczęście był to pokój z łazienką. Caitlin zamknęła się w niej, zrzuciła z siebie ubranie i weszła pod prysznic, mając nadzieję, że obfity strumień ciepłej wody uspokoi ją chociaż trochę, a przy okazji zagłuszy jej łkanie.

Boże, przecież tu nic się nie zmieniło na lepsze! - rozmyślała ze smutkiem, popłakując. - Mój ojciec niczego nie zrozumiał, Reno niczego nie zrozumiał, nikt w okolicy niczego nie zrozumiał! Tutejsi ludzie są nadal święcie przekonani, że to przeze mnie zginął Beau. I jak dawniej, uważają mnie za morderczynię.

A teraz, kiedy rozejdą się informacje o testamencie i o badaniach krwi, którym musiałam się poddać w związku z umieszczonym tam przez ojca zastrzeżeniem - uzmysłowiła sobie ze zgrozą - będą mnie jeszcze uważali za bękarta! I to najprawdopodobniej nawet bez względu na wyniki tych przeklętych testów!

Stała pod prysznicem tak długo, aż trochę zmarzła, chociaż był ciepły.

W końcu, czując, że nie ma już siły ani dłużej płakać i rozpamiętywać swoich krzywd, ani dłużej się płukać, zakręciła wodę, wytarła się do sucha dużym kąpielowym ręcznikiem i włożyła szlafrok.

Umyła zęby, rozczesała i wysuszyła włosy.

Kiedy wróciła z łazienki do pokoju i spojrzała na zegarek, zorientowała się, że jest już kwadrans po siódmej.

Jakkolwiek letnie słońce wciąż jeszcze jaśniało na niebie i bynajmniej się nie śpieszyło z rejteradą za horyzont, wyczerpana przytłaczającymi wrażeniami dnia Caitlin Bodine uznała sen za najlepsze lekarstwo na swoje smutki i troski, i postanowiła się położyć.

Nim jednak zdążyła przebrać się w nocną koszulkę i wyciągnąć się w łóżku, ktoś zastukał do drzwi.

Głośno, zdecydowanie. A równocześnie ze zniecierpliwieniem.

Tak mógł stukać tylko on, Reno, Caitlin nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- O co ci chodzi? - rzuciła.
- O kolację - odpowiedział.
- Dziękuję, ale właśnie idę spać. Powiedz Mary...
- Otwórz!

Jakoś nie odważyła się sprzeciwić. Ostry, rozkazujący ton głosu Reno onieśmielił ją i wymusił na niej posłuszeństwo.

Otworzyła.

Reno Duvall stał pod drzwiami z tacą pełną wiktuałów.

- Mary ci to przysyła - mruknął.

Kompletnie zaszokowana Caitlin jakoś nie odważyła się zapytać, dlaczego Mary przysyła jej kolację przez niego, zamiast po prostu ją przynieść. Bez słowa odsunęła się na bok, pozwalając Reno wejść do pokoju, zostawić tacę na stojącej w pobliżu łóżka komodzie i wyjść.

- Mary była niepokieszona, że idziesz spać bez kolacji - wyjaśnił, znalazłszy się już z powrotem na korytarzu. - Dlatego ci to przyniosłem.

- Dziękuję - wykrztusiła.

Reno Duvall nic już więcej nie powiedział. Nim odszedł, zerknął tylko z ukosa w stronę Caitlin.

Przenikliwe i hipnotyzujące - choć przelotne - spojrzenie jego czarnych oczu zrobiło na niej takie wrażenie, że odruchowo wstrzymała oddech i drżącymi z emocji rękoma zaciągnęła mocniej wokół talii pasek szlafroka.

Podczas uroczystości pożegnania zmarłego Caitlin czuła się wprost koszmarnie.

Wszyscy ludzie z okolic Broken Ground obserwowali ją z widoczną uwagą, ale z reguły kłaniali się jej tylko oficjalnie i omijali ją z daleka, nie podchodząc ze zdawkowymi bodaj kondolencjami, a tym bardziej nie podejmując rozmowy.

Stała więc sama wśród licznie zgromadzonych w obszernym salonie domu pogrzebowego w Coulter City sąsiadów i znajomych Jessa Bodine'a i zupełnie nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

Zrezygnować z dalszego udziału w żałobnej uroczystości i wyjść?

Wykrzyknąć ludziom, że ją krzywdzą, traktując jak trędowatą?

Wywołać skandal i oświadczyć, że bez względu na to, czy jest córką zmarłego naprawdę, czy tylko na papierze, i tak obali testament i przejmie ranczo?

Caitlin Bodine stała samotnie i bezradnie w tłumie żałobników, coraz bardziej roztrzęsiona pod ostrzałem wścibskich i oskarżycielskich spojrzeń.

I pewnie w końcu z emocji zrobiłaby coś niezbyt rozsądnego, gdyby na szczęście w krytycznym momencie nie znaleźli się tuż obok niej trzej starsi panowie, kowboje: Lucky Reed, Bob Wilson i Tar Bailey.

Wszyscy trzej pracowali od lat przy bydle na ranczu Jessa Bodine'a i wszyscy trzej zeznawali na korzyść Caitlin w toku dochodzenia, jakie po utonięciu Beau Duvalla przeprowadził miejscowy szeryf.

Właściwie to tylko dzięki nim nie trafiła do poprawczaka czy więzienia, gdzie najchętniej widziałaby ją rodzina i cała okoliczna społeczność.

Nawet nie miała dotąd okazji im za to podziękować.

Natychmiast bowiem po zakończeniu śledztwa przez szeryfa, wydaniu oficjalnego orzeczenia przez sąd i uwolnieniu jej w ten sposób od jakichkolwiek zarzutów, Caitlin została przez ojca odizolowana od całego świata w domu, niczym w prywatnym areszcie, a wkrótce potem wyekspediowana na tułaczkę.

Nie miała więc w gruncie rzeczy pojęcia, co kowboje tak naprawdę widzieli i co konkretnie powiedzieli szeryfowi.

Nie była nawet zorientowana, czy widzieli wystarczająco dużo, by zeznawać na jej korzyść z czystym sumieniem i całkowitym przekonaniem, czy może tylko domyślali się jej niewinności i zapewniali o niej przedstawiciele prawa poniekąd awansem, przyjmując w prostocie ducha, że nie ma sensu pogrążyć dziewczyny, skoro chłopaka i tak się w ten sposób nie wskrzesi.

Caitlin nie była też pewna, czy przez pięć lat Lucky, Bob i Tar nie zmienili przypadkiem, pod presją środowiska, zdania na jej temat i czy teraz nie odniosą się do niej tak samo, jak pozostali żałobnicy z sąsiedztwa.

Trzej kowboje zachowali się jednak zupełnie inaczej, zdecydowanie sympatyczniej.

- No, teraz to panienka ani chybi zostanie się na stałe w Broken Ground - zagadnął prowincjonalną teksańską angielszczyzną Lucky Reed, miażdżąc na powitanie rękę dziewczyny swoją potężną sękatą grabą, którą był w stanie utrzymać na uwięzi każdego rozdrażnionego byka i każdego narowistego konia. - Toć to panienki ojcowizna!

Dwaj pozostali, z natury mniej wymowni, ograniczyli się do pobrzmiwającego ukontentowaniem z powrotu „panienki” pochrząkiwania i potrząsania jej ręką, z rozmachem zdolnym wyrwać ją z zawiasów.

- Chciałabym... zostać... moi kochani... - wykrztusiła Caitlin, zmuszona zмагаć się ze wzruszeniem, które ścisnęło ją za gardło. - Ale przecież zgodnie z testamentem mojego ojca, Duvall...

- O, z tego młodego pana Reno Duvalla to całkiem galanty chłopak, panienko - przerwał jej w pół zdania Lucky Reed. - A gospodarz taki, że grzech złego słowa powiedzieć! - pochwalił.

- Naprawdę? - bąknęła Caitlin.

- Ani chybi, panienko! - przytaknął z przekonaniem Lucky. - Bez niego, no i ma się rozumieć bez nas trzech, z Bobem i Tarem - wskazał na swoich małomównych kompanów - to z Broken Ground byłby już do dzisiaj szmelc, a nie ranczo, bo przecież nieboszczyk pan Bodine już od dawna nie miał ani siły do roboty, ani głowy do myślenia.

- Od dawna... - mruknęła w zadumie Caitlin, po trosze do swego rozmówcy, a po trosze sama do siebie.

- Tak, Bogiem a prawdą, panienko - stwierdził Lucky, ścisząc głos do konfidencjonalnego szeptu - to on sobie tę głowę niepotrzebnie nabił niestworzonymi rzeczami i przez to tylko życie sobie zmarnował! Bo z panienki mamusi, nieboszczki pani Elainy, kobieta była porządna i pan Bodine głupi był, że jej nie wierzył.

- Głupi! - Caitlin szczerze, choć trochę nieogłędnie, ucieszyła się krytyczną opinią kowboja o postępowaniu zmarłego ojca. - Dzięki za szczerłość, panie Reed.

- Toć nie ma za co, panienko - machnął ręką Lucky Reed. - Myśmy są we trzech z Bobem i Tarem proste chłopcy i nigdy nie owijamy w bawełnę. Tylko że jak z panienki była jeszcze, za przeproszeniem, siusiumajtka, to jakoś nie szło z panienką mówić o takich - rzeczach. Ale teraz, jak już panienka ma swoje lata i swój rozum, to można. Co nie? - zwrócił się z zapytaniem do kompanów.

Bob Wilson i Tar Bailey potakująco pokiwali głowami i zaszurgotali nogami.

- Dziękuję wam, kochani! - powiedziała z autentycznym rozczuleniem Caitlin. - Bardzo mi pomogliście!

- No i zawsze pomożemy, jak będzie trzeba - zapewnił Lucky. - Niech tylko panience ktoś spróbuje nastąpić na nagniotek, to proszę zarutko nam powiedzieć, a my już mu wytłumaczymy, co i jak. Ręcznie, ma się rozumieć! - dodał, puszczając perskie oko. - Co nie, chłopacy?

Pięćdziesięcioletni „chłopacy” dyskretnie, w kułak, zarechotali, aby potwierdzić swoją gotowość do nauczania moresu ewentualnych nieprzyjaciół Caitlin Bodine, ale też aby nie wyjść na ordynusów, którzy robią sobie chichy - śmichy z żalobnej ceremonii. Po czym raz jeszcze poddali prawicę „panienki” próbie wytrzymałości na ściskanie i odeszli, żeby pożegnać się z nieboszczykiem.

Zostawili Caitlin znów samotną, jednak bez porównania silniejszą na duchu niż przedtem. Wystarczająco silną, by dotrzeć do końca żałobnej uroczystości, a po wyjściu wszystkich zgromadzonych z salonu domu pogrzebowego podejść do ustawionej na katafalku w centralnym punkcie obszernego pomieszczenia otwartej trumny ojca.

Jess Bodine wydał jej się po śmierci znacznie drobniejszy i równocześnie bez porównania łagodniejszy niż za życia.

W jego wyniszczonej przez chorobę twarzy nie było już bodaj śladu dawnej srogości i zawziętości. Rysy jego twarzy złagodniały. Sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w głębokim, spokojnym śnie.

Cóż, śmierć to przecież też sen, tylko wieczny. Wieczny odpoczynek, pomyślała Caitlin.

I szepnęła:

- Odpoczywaj w pokoju, tato. A ja już sobie stąd pójdę, jeśli pozwolisz.

Nie odczuwała potrzeby dłuższego pozostawania przy trumnie.

Nie odczuwała niczego, poza chłodną, filozoficzną zadumą i łagodnym, wyciszonym smutkiem, jaki zwykle ogarnia każdego człowieka w obliczu śmierci zupełnie obcej, obojętnej emocjonalnie osoby.

Wszystkie gorętsze, gwałtowniejsze uczucia, jakimi niegdyś pałała w stosunku do ojca, wypaliły się w niej i wygasły. Wszystkie, łącznie z uczuciem nienawiści!

Miała wrażenie, że jest w stanie zapomnieć Jessowi Bodine'owi doznane od niego krzywdy. I w razie czego pogodzić się z faktem, że nie jest jego córką.

Może nawet poczułabym się jak nowo narodzona, gdyby testy krwi wykazały, że moim ojcem nie jest Jess Bodine, tylko ktoś zupełnie inny? - przemknęło jej przez myśl.

I może potrafiłabym zacząć wszystko od nowa?

Ma się rozumieć tutaj, w Teksasie, w Broken Ground, a nie gdzieś na obczyźnie, doszła do wniosku. Z pomocą moich „trzech muszkieterów” - Lucky'ego Reeda, Boba Wilsona i Tara Bailey'a.

- Do licha, tylko co z tym czwartym, czyli Reno Duvall'em? - mruknęła sama do siebie, wsiadając do wypożyczonego na lotnisku w San Antonio samochodu, który jeszcze przed uroczystością pożegnania zmarłego odebrała ze strzeżonego parkingu przy motelu.

Reno Duvall, który opuścił dom pogrzebowy w Coulter City trochę wcześniej niż Caitlin, tkwił zamyślony w fotelu w swoim pokoju w Broken Ground. Sącył whisky i rozpamiętywał koszarne wydarzenia sprzed pięciu lat.

Śmierć brata.

Identyfikację w policyjnej kostnicy jego zmasakrowanego ciała, nad którym rzeka pastwiła się bezlitośnie przez kilkanaście kilometrów, nim wreszcie wyrzuciła je na brzeg.

Pogrzeb, po którym matka dostała ataku szału i wykrzyczała starszemu synowi prosto w twarz, że gdyby mogła wybierać, to wołałaby jego widzieć w grobie.

I dochodzenie w sprawie utonięcia Beau, przeprowadzone przez szeryfa pod nadzorem sędziego.

Szeryf i sędzia nie zajęli się prawie wcale kwestią długotrwałego konfliktu, istnej domowej wojny, jaka toczyła się od kilku lat między dwojgiem nastolatków, przyszywanym rodzeństwem. Dla nich, jako przedstawicieli prawa, a nie terapeutów czy psychologów rodzinnych, najważniejszy był opis samego wypadku.

Sporządzili go na podstawie zeznań trzech naocznych świadków, dorosłych mężczyzn, nie spokrewnionych ani z Bodine'ami, ani z Duvallami, kowbojów - Lucky'ego Reeda, Boba Wilsona i Tara Bailey'a, którzy jako pierwsi dotarli

konno w okolicy zalewanego wodą kanionu, z zamiarem ratowania Caitlin i Beau.

Niestety, nie zdążyli na czas, mimo szaleńczego pośpiechu! Dlatego scenę, jaka rozegrała się nad rzeką wówczas, kiedy to potężna masa rozszalałej wody, niosącej ze sobą również zwały błota, pnie drzew i bryły skalnego gruzu, zalała położone nieopodal wylotu kanionu miejsce, w którym usiłowali się schronić Caitlin i Beau, widzieli z pewnej odległości.

Wedle zeznań kowbojów, Caitlin uratowała się dzięki błyskawicznej, niezwykle zręcznej wspinaczce na stromą skalną ścianę.

Beau usiłował wspinać się za nią, okazał się jednak nie tak sprawny, powolniejszy i w związku z tym został nieco w dole. W krytycznym momencie chwycił więc Caitlin za nogę, licząc prawdopodobnie na to, że ona go jakoś podciągnie.

Caitlin ponoć nawet próbowała, lecz przemoczony but ześliznął się jej ze stopy... I Beau Duvall, z tym jej butem w zaciśniętej kurczowo prawej dłoni, odpadł ze skalnej ściany i runął w skłębioną topiel!

Sheila Duvall - Bodine nigdy nie dała wiary zeznaniom trzech kowbojów i do końca życia z chorobliwym uporem rozgłaszała, że Caitlin rozmyślnie pozbyła się trzewika, żeby zgładzić w ten sposób jej ukochanego syna.

Ta kryminalna wersja wydarzeń, jakkolwiek odrzucona przez sąd, trafiła jednak jakoś do przekonania większości ludzi z okolic Broken Ground, budząc powszechną niechęć do „morderczyni”.

Uniewinniona przez prawo, Caitlin Bodine została więc i tak skazana na potępienie przez wszechwładną prowincjonalną opinię publiczną.

Sam Reno, w odróżnieniu od matki i wielu innych osób, nigdy nie kwestionował słuszności sądowego werdyktu. Nie

podawał też w wątpliwość zeznań świadków, których uważał za porządnych, godnych zaufania ludzi i z którymi przez wszystkie następne lata bez jakichkolwiek uprzedzeń współpracował na ranczu. Miał jednak do Caitlin ogromny żal o to, że w ogóle tamtego feralnego dnia udała się nad rzekę, lekkomyślnie igrając z losem i niepotrzebnie prowokując dalsze, tragiczne w skutkach wydarzenia. I mimo upływu lat, nie potrafił tego żalu w sobie przewyciężyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na pogrzebie ojca Caitlin Bodine po raz pierwszy od pięciu lat spotkała swoją kuzynkę Maddie, czyli Madison St. John.

Spotkała?

Ściśle mówiąc, zobaczyła z daleka, ponieważ Maddie - urodziwa, zgrabna i do przesady wręcz szykowna blondynka o szafirowych oczach - konsekwentnie trzymała się od niej z daleka i rzucała tylko od czasu do czasu w jej stronę lodowate spojrzenia.

Te spojrzenia były tak wyraźnie naznaczone wrogością, że Caitlin nie zdecydowała się podejść. Cioteczne siostry i najbliższe przyjaciółki z dzieciństwa rozstały się więc, nie zamieniwszy ze sobą nad grobem Jessa Bodine'a bodaj jednego słowa.

Madison St. John natychmiast po pogrzebie wuja wsiadła do luksusowego czarnego cadillaca z osobistym szoferem za kierownicą i bez pożegnania odjechała.

Caitlin Bodine została na cmentarzu w Coulter City trochę dłużej. Zgodnie ze zwyczajem, jako córka zmarłego, powinna była przyjmować kondolencje od wszystkich uczestników pogrzebowej ceremonii.

Ponieważ jednak absolutnie nikt nie pofatygował się, by złożyć jej wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca, poczekała tylko na uboczu, aż żałobnicy opuszczą miejsce pochówku i w towarzystwie nachmurzonego, milczącego od samego rana Reno Duvalla wróciła do Broken Ground

samochodem, przeznaczonym przez zakład pogrzebowy do dyspozycji „najbliższej rodziny”.

W domu na ranczu wszystko było już przygotowane do konsolacji.

Mary, w asyście specjalnie na tę okazję zaangażowanej pomocnicy, oczekiwała w pełnej gotowości, aby natychmiast, kiedy tylko pojawią się w Broken Ground pierwsi spośród zaproszonych gości z sąsiedztwa i z miasta, podać na stół lunch.

- Pozwolisz, że daruję sobie ten punkt dzisiejszego programu - stwierdziła zde gustowana Caitlin, odzywając się do Reno po raz pierwszy tego dnia.

- Jak uważasz - mruknął. - No, ale wiesz - dodał - ludzie z całej okolicy się zjadą.

- Przecież chyba zauważyłeś, jak tutejsi ludzie mnie traktują! - wybuchnęła.

Reno nic na to nie powiedział, jedynie w zamyśleniu kiwnął głową.

- Przebiorę się, wezmę konia i przejadę się trochę po ranczu - poinformowała go Caitlin. - Wrócę dopiero, jak całe towarzystwo się naje i rozjedzie.

- Jak uważasz - powtórzył Reno, wzruszając obojętnie ramionami.

Caitlin pobiegła do swojego pokoju, zrzuciła z ulgą czarny kostiumik, który miała na sobie w czasie pogrzebu, wraz z dodatkami w postaci ciemnej jedwabnej bluzki, czarnych rajstop i czarnych pantofli na średniowysokich obcasach, włożyła dżinsy, flanelową koszulę oraz wysokie buty do konnej jazdy i czym prędzej, nie chcąc natknąć się po drodze na kogokolwiek spośród uczestników konsolacji, popędziła do stajni.

Osiadła karego ogiera i ruszyła na jego grzbiecie na daleką samotną eskapadę po bezdrożach.

Wróciła dopiero wczesnym wieczorem.

Na dziedzińcu nie było już żadnego obcego samochodu.

- Najlepszy dowód, że konsolacja skończona - mruknęła Caitlin sama do siebie.

Podjechała pod stajnię, zsiadła z konia i wprowadziła go do środka.

Od razu wyczuła swąd papierosowego dymu.

Palenie tytoniu było ze względu na niebezpieczeństwo pożaru kategorycznie zakazane w drewnianym budynku, w którym na dole trzymano w boksach konie, a na górze, na stryżku, składowano przeznaczony dla nich zapas siana.

- I kto tu, do licha, kopci?! - krzyknęła od drzwi zirytowana Caitlin.

Odpowiedziało jej milczenie. Nikt nie przyznał się do winy. Rozejrzała się więc za winowajcą, ale w stajni, nie licząc koni, nie było żywej duszy.

A jednak skądś wyraźnie, choć niezbyt mocno, za - wiewało papierosowym dymem!

Caitlin ze zdziwieniem pokręciła głową.

- No, przecież chyba nie mam żadnych omamów - mruknęła sama do siebie.

Rozsiodłała konia i wprowadziła go do boksu.

I wówczas, usłyszawszy jakieś podejrzanе szelesty, dobiegające z góry, zorientowała się, że ktoś jest na strychu. Dopadła drabiny i błyskawicznie wspięła się po niej na pięterko.

Była dostatecznie szybka, by przyłapać winowajców na gorącym uczynku, a raczej na dymiącym uczynku.

Okazali się nimi dwaj niezbyt duzi chłopcy, którzy siedzieli obok siebie na sprasowanym kłocu siana i zaciągali się na przemian wspólnym papierosem.

- A co wy tu robicie, do licha?! - krzyknęła na nich ostro Caitlin.

Ten, który akurat w tym momencie trzymał papierosa w ręku, z wyglądu nieco starszy, natychmiast rzucił go na drewnianą, przyprószoną drobnymi źdźbłami rozsypanego siana podłogę i przydepnął nogą.

Natomiast ten drugi, młodszy, wybąkał:

- My... nic... proszę pani.

- Jak to nic! - zezłościła się Caitlin. - Przecież widzę i czuję, że kopcicie tu papierosy, bezmyślni smarkacze! Stajnia mogła się przez was spalić, razem z końmi i na dodatek z wami obydwoma! A właściwie, to coście wy za jedni? - przystąpiła do indagacji.

- Ja jestem Mike - wyjaśnił starszy chłopak.

- A ja Billy - dodał młodszy.

- Koledzy?

- Nie.

- Tylko kto?

- Bracia.

- Jacy bracia?

- Carnesowie.

- Gdzie mieszkacie?

- Tu, w Broken Ground - odpowiedział Billy.

- W służbówce, w oficynie - uściślił Mike.

- Rodzice co robią?

Bracia zaczęli udzielać wyjaśnień równocześnie, jeden przez drugiego:

- Pracują na ranczu.

- Przy bydło i przy drobiu.

- To znaczy, tata przy bydło.

- A mama przy drobiu.

- Są teraz w domu? - spytała Caitlin, uciszywszy wcześniej gestem przekrzykujących się malców.

- Nie - zaprzeczył starszy chłopak.

- Tak - dokładnie w tym samym momencie potwierdził młodszy.

- Który kłamie?

- Nnno... chyba ja... - przyznał się z rezygnacją Mike, piorunując spojrzeniem nie dość sprytnego i zanadto prawdomównego brata.

- Idziemy do rodziców - zawyrokowała Caitlin.

- Proszę pani, nie!

- My przecież już nigdy więcej!

- Cisza! - huknęła. - Niech się mama i tata dowiedzą, jakich gagatków mają w domu! Ja schodzę po drabinie pierwsza, więc proszę bez żadnych sztuczek - zastrzegła, na wypadek gdyby przestraszonym chłopakom przyszedł do głowy pomysł ucieczki ze stajni i ukrycia się przed rodzicielskim gniewem gdzieś na ranczu.

Skruszeni winowajcy potulnie pozwolili się zaprowadzić do oficyny, gdzie ich zatrudnieni na ranczu rodzice zajmowali służbową kwaterę.

Caitlin zatrzymała się przed wejściem.

- Idźcie do domu i poproście tutaj rodziców - poleciała chłopakom.

Mike i Billy, z popuszczanymi nisko głowami, wsunęli się do domu.

Po chwili w progu stanął mniej więcej trzydziestokilkuletni, postawny i barczysty kowboj wraz z małżonką, kobietą zbliżoną do niego wiekiem, ale zdecydowanie drobniejszą z postury.

- Państwo Carnesowie? - upewniła się Caitlin, zorientowawszy się, że widzi tych ludzi po raz pierwszy w życiu i wywnioskowawszy z tego logicznie, że musieli sprowadzić się na ranczo już po jej wyjeździe. - Jestem Caitlin Bodine.

- Miło nam panią poznać, panno Bodine - mruknął kowboj, zupełnie bez przekonania.

A jego żona nie powiedziała nic, tylko spojrzała podejrzliwie i nieprzyjaźnie spod oka, po czym schowała się za plecami męża.

- Mnie również miło - stwierdziła Caitlin, starając się nie dostrzegać, że Carnesowie są jej zdecydowanie niechętni i tylko nie mają odwagi jawnie tej swojej niechęci zmanifestować. - Ale, niestety, mam dla państwa przykrą wiadomość - dodała.

- A co znowu takiego się stało, proszę pani? - burknął kowboj.

- Właśnie przyłapałam waszych chłopców na popalaniu papierosów!

- Gdzie?

- Dobre pytanie. W stajni, panie Carnes, na strychu nad boksami, na sianie. Mogli podpalić budę i upiec się w niej żywcem razem z końmi!

- Do licha, już ja zaraz... - Zaczął się szarpać z klamrą swojego pasa, spoglądając przy tym na Caitlin z taką złością, że wcale nie była pewna, czy zamierza przetrzepać skórę swoim dwóm gagatkom, czy może raczej jej, zwiastunce niepomyślnej nowiny.

Na wszelki wypadek powiedziała chłodnym i dość wyniosłym tonem:

- Tymczasem wystarczy porozmawiać z synami, panie Carnes. Na lanie przyjdzie pora, jeśli się coś takiego, nie daj Boże, powtórzy. Bo wtedy koniec z pracą i mieszkaniem w Broken Ground! Zrozumiał pan?

Kowboj zostawił pas w spokoju i opuścił ręce.

- Zrozumiałem, panno Bodine - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Cieszę się, panie Carnes. Na razie to już wszystko z mojej strony - oznajmiła Caitlin. - Dobranoc państwu.

Carnes nic nie powiedział, jedynie skinął głową. I obróciwszy się na pięcie, jedną ręką popchnął żonę w głąb mieszkania, a drugą z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

Mimo zdenerwowania, Caitlin była w gruncie rzeczy usatysfakcjonowana, że udało się jej przyjąć zdecydowaną postawę i zachować godnie, jak przystało na dorosłą kobietę i prawdziwą teksańską dziedziczkę.

Uznawszy sprawę nieodpowiedzialnego wybryku młodych Carnesów za ostatecznie załatwioną, wróciła do swego karego wierzchowca, któremu po wielogodzinnej wycieczce należała się staranna toaleta, a także woda i obrok.

Mniej więcej po trzech kwadransach, kiedy już uporała się ze wszystkim, co było do zrobienia w stajni, ruszyła do domu, planując w końcu zająć się sobą, to znaczy odświeżyć się trochę i coś zjeść.

W holu natknęła się na Reno. Z marsową miną i rękoma w kieszeniach tkwił jak posąg na wprost frontowych drzwi, którymi weszła.

- Czemu tak stoisz? - zdziwiła się.

- Czekam na ciebie - mruknął.

- Po co?

- Żeby pogadać.

- O czym?

- Wiadomo! O twoich nieodpowiedzialnych wybrykach, Caitlin.

- A cóż ja takiego zrobiłam? - zachnęła się.

- Jak to, co? Zupełnie niepotrzebnie naurągałaś porządnym ludziom.

- Masz na myśli Carnesów?

- Właśnie! - potwierdził rozsierdzony Reno. - Musisz wiedzieć, że Dean Carnes to świetny kowboj.

- Ale strasznie bezczelny facet - przerwała mu Caitlin. - Tak mi na pożegnanie trzasnął drzwiami przed nosem, że o mało co nie ogłuchłam.

- Zdenerwował się chłop i tyle.

- A myślisz, że ja nie?! - wykrzyknęła Caitlin. - Wchodzę do stajni i czuję dym.

- No i co?

- No i znajduję na strychu dwu smarkaczy, którzy siedzą sobie na sianie i kopcą papierosa.

- Normalnie, jak to chłopaki.

- A jakby tak zaprószyli ogień i spalili się żywcem razem z końmi i całą resztą? Na kogo by wtedy ich rodzice przyszli do ciebie ze skargą?

- Skąd mogę wiedzieć - rzucił Reno i rozłożył bezradnie ręce.

- Chyba na samych sobie, że nie umieli przestrzec chłopaków przed szkodliwością palenia tytoniu, zwłaszcza w nieodpowiednich miejscach! - stwierdziła dobitnym, mentorskim tonem Caitlin.

- Tak czy inaczej, nie musiałaś od razu straszyć Deana Carnesa utratą pracy - mruknął Reno. - Zresztą, nawet nie miałaś prawa - dodał, podnosząc głos.

- Niby dlaczego?

- Bo to ja tutaj zatrudniam ludzi! - wybuchnął. - I ja ich zwalniam, jeśli trzeba.

- Ach, tu cię boli! Chciałbyś sam wszystkim zarządzać w Broken Ground - odezwała się z przekąsem Caitlin. - A jednak musisz przyjąć do wiadomości fakt, że ja t e ż tutaj jestem.

- Niestety.

- I byłam tu znacznie wcześniej niż ty.

- Ale potem wyjechałaś.

- Nie z własnej woli. A zresztą, już wróciłam.

- Chyba niepotrzebnie.

- Tak czy inaczej, teraz już się nie pozwolę stąd wygnać!
- wykrzyknęła rozzłoszczona Caitlin. - I nie pozwolę nikomu sobą pomiatać, wiesz? Niech tutejsi ludzie, z Maddie St. John na czele, nawet sobie nie myślą, że wolno im mnie traktować jak jakiegoś wyrzutka społeczeństwa! A ty sobie nie myśl, Reno, że wolno ci mnie pouczać! Skoro uznałam za stosowne postraszyć Carnesa, żeby nie zlekceważył sprawy i nie puścił chłopakom płazem pokątnego popalania papierosów w stajni, to postraszyłam.

- Poczuję się urażony!

- Lepsza uraza od żałoby.

- A co ty wiesz o żałobie? - zachnął się Reno.

- A ty?

- Chyba wszystko! Odkąd pięć lat temu straciłem brata...
przez ciebie.

- Nie jestem winna śmierci Beau!

- Jesteś!

- To był wypadek!

- Ale nie doszłoby do niego, gdybyś wtedy nie uciekła do kanionu.

- Uciekłam, bo miałam wszystkiego dość! I nie prosiłam Beau, żeby za mną jechał.

- Milcz!

Rozgorączkowany Reno Duvall stracił panowanie nad sobą i ryknął na Caitlin tak wściekle, jakby chciał zagłuszyć nie tylko jej ewentualne dalsze słowa, ale i jakieś własne wątpliwości.

Nie próbowała go przekrzykiwać. Wzruszyła tylko lekceważąco ramionami i z godnością prawdziwej damy poszła do swojego pokoju.

Dopiero tam pozwoliła sobie na łzy.

Następnego dnia po pogrzebie Jessa Bodine'a na ranczu zjawił się jego prawnik, żeby otworzyć i oficjalnie odczytać testament.

Zgodnie z przedśmiertną wolą zmarłego, syn jego drugiej żony z jej pierwszego małżeństwa, Reno Duvall, dziedziczył połowę posiadłości, czyli dwadzieścia tysięcy akrów ziemi.

Drugą połowę miała otrzymać w spadku Caitlin, o ile badania DNA wykażą, że jest córką Jessa również w sensie biologicznym, a nie tylko w rozumieniu prawa.

Ponieważ wyniki tych skomplikowanych testów miały nadejść z laboratorium dopiero za kilka tygodni, Caitlin nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać na nie w Broken Ground. Choćby w tym celu, żeby po jednoznacznym wyjaśnieniu wszystkich problematycznych spraw związanych z ostatnią wolą ojca, podjąć przed sądem w Coulter City zabiegi o jej unieważnienie.

Czekała więc, w miarę możliwości unikając spotkań z Reno i spędzając całe dni poza domem na dalekich konnych wólczęgach.

W ciągu kolejnych czterech dni zjeżdżała w ten sposób wzdłuż i wszerz całe ranczo.

Piątego dnia wybrała się do kanionu.

To miejsce przerażało ją i przyciągało zarazem z jakąś magnetyczną siłą. Z rozmysłem omijała je do tej pory, ale przez cały czas czuła również w głębi duszy, że musi je w końcu odwiedzić.

Po co?

Przede wszystkim chyba po to, żeby ostatecznie zamknąć pewien etap w swoim życiu, zapoczątkowany właśnie w kanionie, w dniu tragicznej śmierci Beau Duvalla.

Etap osamotnienia i wygnania.

Etap trudnej wewnętrznej walki z koszmarami dzieciństwa i wieku dziewczęcego.

Etap uwalniania się z najwyższym wysiłkiem od narzuconego przez otoczenie poczucia winy i kompleksu niższości.

Etap wchodzenia w dorosłość.

Nie dojdę z samą sobą do ładu, jeśli nie odwiedzę tego miejsca. Nie odważę się wziąć wszystkich własnych spraw we własne ręce, jeśli nie znajdę w sobie odwagi, żeby znów znaleźć się w kanionie, powtarzała sobie w myślach, jadąc konno brzegiem w górę rzeki i coraz bardziej zbliżając się do wylotu głębokiej, wąskiej rozpadliny o stromych ścianach, wyłobionej przez rzeczne wody zapewne na długo przed odkryciem Ameryki przez Kolumba, przed setkami, a nawet tysiącami lat, jednak ciągle przez nie pogłębianej i na nowo rzeźbionej, zwłaszcza w momentach gwałtownych powodziowych przyborów. Takich, jak ten, do którego doszło tamtego fatalnego dnia!

Caitlin Bodine zostawiła konia u wylotu kanionu i niepewnie, z trudnym do opanowania lękiem, wsunęła się w głąb skalnego korytarza.

Nawet w słoneczny dzień było tu mroczno i ponuro. A wtedy, gdy zginął Beau Duvall, dzień był pochmurny i mglisty.

Caitlin miała już wszystkiego dość po kolejnej domowej awanturze, sprowokowanej przez niego po raz któryś tam z rzędu tak sprytnie, że to jej oczywiście przypisano całą winę.

Miała wszystkiego dość i chciała ze sobą skończyć.

I właśnie dlatego, mimo powtarzanych od kilku dni przez rozgłośnie radiową w Coulter City ostrzeżeń o zbliżaniu się potężnej fali powodziowej i groźbie gwałtownego wzrostu poziomu wód w rzece, uciekła z domu do swojej kryjówki w kanionie.

Uciekła do kanionu na pewną zgubę, by raz na zawsze zejść z oczu ojcu, który jej nie kochał, nie akceptował i prawie nie dostrzegał.

Uciekła, żeby zejść z oczu Sheili Duvall, która jako „druga matka” tolerowała ją z najwyższą niechęcią.

Uciekła, żeby zejść z oczu Beau Duvallowi, który ze złośliwym upodobaniem dokuczał jej, kiedy byli młodszy, a ostatnio, odkąd oboje weszli na dobre w wiek młodzięczy, zaczął się jej narzucać z bezczelnymi, niedwuznacznymi propozycjami i nawet próbował ją molestować, ilekroć oczywiście miał okazję czynić to ukradkiem.

Uciekła również przed własną bezradnością i kompletnym brakiem oparcia w kimkolwiek.

Reno kończył w tym czasie studia rolnicze i menedżerskie w San Antonio i bardzo rzadko bywał w Broken Ground, więc nie mogła z nim porozmawiać i poskarżyć się mu na brata.

Maddie St. John, zaślepiona w swoim naiwnym pensjonarskim afekcie do Beau, nie przyjmowała do wiadomości niczego, co mogłoby przedstawić jej ideał w złym świetle.

Caitlin nie miała zatem w pobliżu siebie żadnej życzliwej duszy i pozostawała zupełnie sama z wszystkimi swoimi problemami.

Nie będąc w stanie sobie z nimi poradzić, uciekła do kanionu.

Zdesperowana, chciała się utopić.

Tymczasem los zrządził inaczej i utopił się Beau, jej fałszywie uśmiechnięty i na pokaz układny wobec wszystkich prześladowca.

Beau dogonił Caitlin w kanionie. Dotarł tam na czas, prędzej niż fala powodziowa. Jednak z młodzięcżą brawurą zlekceważył sobie niebezpieczeństwo i zamiast nakłonić ją do natychmiastowego odwrotu, skorzystał z okazji, że byli sami

na odludziu i próbował ją nakłaniać do czegoś zupełnie innego...

Był w tych swoich zabiegach bezczelny, arogancki, wulgarny.

Posunął się nawet do użycia siły.

Pchnął Caitlin.

Przewrócił ją na ziemię...

W tym akurat momencie potężna masa wody dotarła do kanionu i wdarła się z hukiem pomiędzy jego wznoszące się stromo ku górze skalne ściany.

Beau zaklął szpetnie, wściekły na teksańską przyrodę, że weszła mu w paradę i pokrzyżowała nieczne plany.

Caitlin zerwała się na równe nogi i powodowana silniejszym widocznie od depresji instynktem życia zaczęła w pośpiechu wspinać się po stromiźnie.

Beau ruszył jej śladem, ale nie był dość szybki. Chcąc sobie jakoś pomóc, chwycił Caitlin za nogę.

Przez wszystkie następne lata zastanawiała się wielokrotnie, co by się stało, gdyby but nie zsunął jej się wtedy ze stopy.

Czy obydwójce z Beau zdołaliby się uratować? Czy raczej runęliby razem w rzeczną kipieli i obydwójce utonęli?

Zastanawiała się też, która wersja rozwoju wydarzeń byłaby dla niej lepsza.

Dalsze życie pod jednym dachem z Beau?

Wspólna śmierć w nurtach rzeki?

Mając trudności z rozstrzygnięciem tego dylematu, często odnosiła wrażenie, że to, co się faktycznie wydarzyło, było wersją najgorszą z możliwych.

Okrzyknięto ją morderczynią.

Wyrzucono z domu.

Omów nie wpakowano do więzienia.

Tylko dzięki trzem poczciwym kowbojom, - Lucky'emu Reedowi, Bobowi Wilsonowi i Tarowi Baileyowi - zdołała uwolnić się od niesłusznych podejrzeń i uniknąć niezасłużonej kary.

Jedynie dzięki odrobinie szczęścia w nieszczęściu, wygnana z rodzinnego Teksasu, zdołała znaleźć sobie bezpieczną przystań w Montanie.

Jedynie dzięki intensywnej pracy nad sobą zdołała wrócić do równowagi i uniknąć pogrążenia się w otchłani obłędu czy narkomanii.

Po pięciu latach nowego, dorosłego już życia, czuła się na tyle silna, że miała odwagę spotkać się z ojcem, wrócić na ranczo, wejść do kanionu.

Po pięciu latach nowego, dorosłego życia udało się jej zwalczyć dawne kompleksy i pokonać, a przynajmniej stłumić paraliżujący lęk niekochanego, osamotnionego dziecka, który nie opuszczał jej przez kilkanaście lat, od chwili śmierci matki.

Zastarzałej nienawiści Reno Duvalla i upartej niechęci ludzi z Broken Ground i okolic, takich nawet, jak Carnesowie, którzy znali jej historię wyłącznie ze słyszenia, nie była jednak w stanie skutecznie się przeciwstawić. Przynajmniej jak dotąd.

Wzruszyła ramionami.

Cóż, nie przekonam przecież nikogo na siłę, pomyślała z odrobiną goryczy. Nie pozostaje mi nic innego, tylko nadal robić to, co uważam za słuszne.

Wyszła z ciemnego kanionu na otwartą przestrzeń, rozświetloną promieniami stojącego w zenicie słońca.

Dosiadła swego karego konia i ruszyła galopem w stronę domu w Broken Ground.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Znalazłszy się w pobliżu domu, Caitlin od razu spostrzegła, że coś się wydarzyło w obejściu.

Coś złego!

Konie przeraźliwie rżały, ludzie głośno krzyczeli. A znad gospodarczego podwórza, od strony stajni, unosiły się w powietrze kłęby ciemnego dymu.

Pożar! - uzmysłowiła sobie Caitlin.

Zmusiła wierzchowca do szybszego biegu, wpadła na reprezentacyjny frontowy dziedziniec, nie zagrożony ogniem, zostawiła tam w bezpiecznym miejscu karego i popędziła na tyły domu.

Na podwórzu było już mnóstwo ludzi.

Kilku najodważniejszych mężczyzn, nie bacząc na groźbę poparzenia lub stratowania, wyprowadzało ze stajni oszalałe z przestachu konie.

Inni w gorączkowym pośpiechu wynosili z przeciwpożarowego magazynku strażackie węże, by je rozwinąć, połączyć ze sobą, podłączyć do przeciwpożarowego hydrantu i jak najszybciej rozpocząć gaszenie.

Grupka zatrwożonych kobiet i zaleknionych dzieci z pracowniczych oficyn tłoczyła się w najbardziej oddalonym od ognia kącie dziedzińca, tuż przy tylnych, kuchennych drzwiach rezydencji Bodine'ów.

Najmłodsze dzieciaki płakały i tuliły się do matek.

Kobiety niespokojne o bezpieczeństwo mężów czy starszych synów biorących udział w akcji gaśniczej, głośno, nerwowo komentowały przebieg rozgrywających się na ich oczach dramatycznych wydarzeń.

Palił się cały dach stajni. Płomienie strzelały wysoko w górę, a ponad nimi, jeszcze wyżej, unosił się gęsty dym.

Wśród zgromadzonych kobiet Caitlin rozpoznała żonę Deana Carnesa.

- Gdzie są chłopcy, Billy i Mikę?! - krzyknęła do niej, spostrzegłszy z przerażeniem, że stoi sama, bez dzieci, roztrzęsiona i zapłakana.

- Nie... wiem - wykrztusiła przez łzy zrozpaczona kobieta.
- Nigdzie... nie mogę... ich znaleźć.

Tknięta najgorszym przeczuciem Caitlin nie pytała już o nic więcej i nie czekała ani chwili dłużej, tylko ruszyła biegiem w stronę ogarniętej pożarem stajni.

W otwartych na oścież wrotach, przez które wyprowadzono już szczęśliwie wszystkie konie, minęła się z okopconym od stóp do głowy przez dym kowbojem. Mężczyzna wynosił na rękach z pożaru dziecko, niedużego, mniej więcej dziesięcioletniego chłopca.

Caitlin natychmiast rozpoznała w malcu starszego z braci Carnesów, Mike'a.

- Gdzie jest Billy? - spytała.

- Tam, w środku - jęknął w odpowiedzi półprzytomny ze strachu Mikę Carnes.

- Proszę nie wchodzić, panno Bodine, tam jest już istne piekło! - ostrzegł kowboj.

Nie powstrzymał jednak Caitlin. Wpadła do wnętrza wypełnionego gęstym, gryzącym w oczy i dławiącym w gardle dymem.

Dach stajni płonął z trzaskiem i hukami nad jej głową. Nadpalone, rozżarzone do czerwoności fragmenty belek stropowych i płonące deski podłogi raz po raz waliły się na dół.

Warstwa zdatnego do oddychania, jakkolwiek bardzo już gorącego powietrza, utrzymywała się jeszcze tylko bezpośrednio ponad kamienną posadzką parteru.

Caitlin odruchowo przykucnęła i na czworakach, przemieszczając się w ten sposób, zaczęła penetrować stajnię. Miała nadzieję, że natknie się gdzieś na chłopca, choćby nieprzytomnego i poparzonego, ale być może jeszcze żywego.

Przeszukała po kolei wszystkie boksy dla koni, ale Billy'ego Carnesa w żadnym z nich, niestety, nie było. Uzmysłowała sobie wtedy ze zgrozą, że jeśli malec u - tknął gdzieś na strychu, to nawet gdyby jakimś cudem żył jeszcze, i tak nie ma prawie żadnych szans na przeżycie, bo ani ona, ani nikt inny tam do niego nie dotrze przed całkowitym ugaszeniem ognia.

Wokół robiło się z każdą chwilą bardziej duszno i coraz goręcej. Caitlin poczuła, że ubranie zaczyna ją parzyć, a płuca odmawiają jej posłuszeństwa. Z bólem serca postanowiła wycofać się z płonącego budynku na zewnątrz.

Pełznąć już w stronę wyjścia, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie o przylegającym bezpośrednio do stajni warsztacie rymarskim, który pełnił równocześnie rolę magazynu siodła i uprzęży.

A jeśli ogarnięty paniką Billy tam właśnie schował się przed ogniem, zamiast po prostu uciekać na dwór? - przemknęło jej przez myśl.

Nie zastanawiała się ani chwili dłużej.

Zamiast uciekać na zbawcze świeże powietrze, poprzez ścianę gęstego dymu przedarła się ku wewnętrznym drzwiom, prowadzącym do rymarskiego magazynku. Były zamknięte albo w jakiś sposób zaklinowane.

Caitlin uniosła się z czworaków na klęczki i pchnęła je kilkakrotnie oburącz, ale nie chciały ustąpić.

Wzięła więc oddech i wstała.

Potraktowała drzwi kopniakiem, niestety, również bez skutku.

Zatoczyła się z wyczerpania i niedotlenienia, ostatek sił spróbowała jeszcze raz.

Kopnęła z taką rozpaczliwą determinacją, że jej obutą w kowbojski trzewik stopę przeszył ból tak silny, jak przy złamaniu lub zwichnięciu.

Drzwi jednak ustąpiły.

Caitlin ponownie opadła na czworaki i wsunęła się do rymarskiego magazynku. Przemieszczając się po omacku, gdyż w pomieszczeniu było zupełnie ciemno od dymu, zaczęła szukać chłopca.

I znalazła go po chwili!

Leżał bezwładnie na podłodze, był nieprzytomny.

Czując, że za kilkadziesiąt, a może nawet już za kilkanaście sekund ona również straci świadomość, zaczadzi się i nie będzie w stanie absolutnie nic zdziałać, Caitlin przyciągnęła Billy'ego do siebie i przytrzymując go w ramionach, nadludzkim wysiłkiem wstała, mimo potwornego bólu w prawej nodze.

Przeniosła chłopca z zadymionego magazynku, z którego nie było żadnego wyjścia na zewnątrz, do ogarniętej płomieniami stajni.

I potykając się, ruszyła ku jej otwartym wrotom.

Zrobiła jeden krok.

Potem drugi.

Następny. Jeszcze jeden...

Czuła, że z bólu i braku powietrza traci orientację i słabnie, ale zdawała sobie również sprawę, że potrzebuje jeszcze zaledwie kilku chwil przytomności i kilku kroków, by uratować siebie i dziecko.

Wyjście z pułapki było przecież coraz bliżej, już niemal na wyciągnięcie ręki!

Jeszcze tylko jeden krok.

I jeszcze.

I jeszcze...

Caitlin Bodine, z małym Billym Carnesem na rękach, była już prawie w progu płonącej stajni, kiedy runął na nią z góry jakiś nadpalony element stropu.

Poczuła silne uderzenie w tył głowy i zapadła się w niebyt.

Gdyby Caitlin straciła przytomność w głębi ogarniętego pożarem budynku, być może nikt nie odważyłby się ruszyć jej na ratunek przed ugaszeniem ognia, kiedy to na interwencję lekarską mogłoby być za późno. Szczęściem w nieszczęściu, została przygnieciona przez stropową belkę w pobliżu drzwi, więc zgromadzeni na podwórzu ludzie natychmiast pośpieszyli jej z pomocą. Wyciągnęli ją i dzieciaka Carnesów, który nie ucierpiał od uderzenia, gdyż osłoniła go własnym ciałem i wezwali ambulans reanimacyjny z Coulter City.

Kiedy Reno Duvall, który wizytował tego dnia jakieś odległe od domu pastwiska, wrócił wieczorem i dowiedział się o pożarze stajni, Caitlin i Billy Carnes byli już od kilku godzin w szpitalu.

Nie zerknąwszy nawet na pogorzeliśko, wsiadł w swój terenowy samochód i popędził do Coulter City.

W szpitalu lekarz dyżurny poinformował go na wstępie, że obojgu przywiezionym z Broken Ground pacjentom udzielono pierwszej pomocy w związku z dość silnym zatruciem tlenkiem węgla, jakiemu ulegli podczas pożaru.

Po czym dodał:

- Stan chłopca zdecydowanie się poprawił i jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo, po kilkudniowej kuracji na oddziale pediatrycznym powinien wrócić do domu.

- A Caitlin... to znaczy panna Bodine? - zapytał z niepokojem Reno.

- Dzielną dziewczyną! - stwierdził doktor i pokręcił z podziwem głową. - Nie odzyskała dotąd, niestety, przytomności.

- Ratujcie ją, na litość boską! - wykrzyknął Reno, zrywając się z krzesła, na którym siedział w gabinecie, naprzeciw lekarskiego biurka.

- Robimy, co w naszej mocy, panie Duvall, ale jej stan jest ciężki.

- Zaczadzenie?

- To też - przytaknął lekarz. - Poza tym sporo oparzeń i złamana kość śródstopia. Ale najgorszy jest uraz głowy. Trudno w tej chwili przewidzieć jego następstwa. Trzeba czekać, panie Duvall.

- Długo?

- Co najmniej do momentu, w którym pacjentka się ocknie. Dopóki nie nawiążemy kontaktu słownego, nie będziemy wiedzieli, czy w wyniku urazu czaszki nie doszło u panny Bodine do jakichś uszkodzeń mózgu.

- Wielki Boże! Gdzie ona w tej chwili jest? - spytał Reno.

- Na intensywnej terapii.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- W tej chwili raczej nie, panie Duvall. Lepiej poczekajmy z odwiedzinami, aż pacjentka sama wyrazi na nie zgodę.

- Dlaczego? - zdziwił się Reno. - Nie rozumiem pana stanowiska, doktorze.

- Więc proszę się postarać zrozumieć! - zniecierpliwił się lekarz. - Panna Bodine jest młodą i piękną kobietą, zgadza się pan ze mną?

- Tak.

- A teraz, po wypadku, wygląda po prostu nie najlepiej, panie Duvall, więc nie wiem, czy miałyby ochotę, żeby oglądał ją ktoś spoza personelu szpitala, a już zwłaszcza obcy mężczyzna.

- Panie doktorze, co właściwie z nią jest? - przeraził się Reno.

- Ma całkowicie zwęglone brwi i rzęsy, poparzoną twarz, nadpalone włosy, a ręce i nogi w bandażach. Wystarczy, panie Duvall?

Reno w milczeniu skinął głową.

- Kiedy będzie się można znów czegoś dowiedzieć o stanie Caitlin... znaczy... panny Bodine? - spytał po chwili.

- Proszę wpaść do szpitala jutro przed południem, panie Duvall - odparł lekarz. - Ale dzisiejszej nocy proszę być na wszelki wypadek przez cały czas pod telefonem na ranchu - dodał.

W drodze powrotnej ze szpitala Reno Duvall wstąpił do Madison St. John, żeby ją powiadomić, co się stało. Nie zastał jej jednak, gdyż właśnie tego dnia wybrała się do Nowego Jorku.

Nie zatrzymując się już nigdzie więcej, wrócił więc do Broken Ground.

Przed domem czekał na niego zafrasowany, wyraźnie przygnębiony Lucky Reed.

- Możemy chwilkę porozmawiać, szefie? - rzucił posępnym tonem.

- Jasne, Lucky - zgodził się Reno. - Wejdźmy do mojego gabinetu.

W gabinecie wskazał kowbojowi fotel. Sam przysiadł na blacie biurka.

- Co z naszą panią Caitlin, szefie? - zapytał z ogromną troską w głosie Lucky. - Co panu powiedzieli ci miastowi doktorzy?

Reno ciężko westchnął i przyznał:

- Prawie nic, Lucky.

- Jakże tak, nic? - obruszył się kowboj. - To trzeba było pytać!

- Caitlin jest ciągle nieprzytomna - wyjaśnił Reno.

- Lekarze każą czekać z pytaniami do czasu, kiedy wróci jej świadomość.

- Znaczy się... jak na razie... to na dwoje babka wróży tej biedulce - wykrztusił kowboj i załamał ręce.

- Panie Świąty! I czemu to dziecko tak musi cierpieć przez całe swoje życie? - wybuchnął. - Za jakie grzechy?

- No, coś może by się znalazło... w rodzinie - mruknął Reno.

- Bujda, szefie! - huknął oburzony Lucky Reed. - Nieboszczyk pan Bodine tylko sobie ubrdał, że jego pierwsza żona, nieboszczka pani Elaina...

- Jesteś pewien?

- Tak, bo to była bardzo w porządku kobietka - potwierdził z powagą kowboj. - Pan Jess zwyczajnie zgłupiał i coś tam sobie ubrdał.

- Ubrdał sobie, powiadasz?

- Ma się rozumieć! I potem przez całe lata traktował Bogu ducha winnego dzieciaka jak psa! Co ja mówię?

- Lucky Reed machnął ręką. - Gorzej niż psa! Szwendało się toto po obejściu, wiecznie poszturchiwane, besztane z lada powodu. Tak się nie robi, szefie, ja tam prosty chłop jestem, ale wiem! To nie było w porządku, bynajmniej.

Kowboj umilkł i zamyślił się.

Reno Duvall ciężko westchnął.

Uzmysłowił sobie z goryczą, że zachowanie Jessa Bodine'a wobec córki nie było w porządku do samego końca, że nawet w obliczu śmierci nie potrafił potraktować jej nieco serdeczniej czy choćby przyjaźniej.

Kowboj odchrząknął i wrócił do przerwanej chwili wątku.

- Panienska Caitlin najpierw męczyła się ze swoim sfiksowanym ojcem przez dwa lata, odkąd mamusia ją osierociła - stwierdził. - No, a potem, szefie - dodał, spuszczając głowę i unikając w ten sposób przenikliwego wzroku Reno - jakżeście wy, państwo Duvallowie, tutaj do Broken Ground nastali, to po mojemu, już do końca męczyła się nawet bardziej...

- Lucky!

- Tak?

- Ty uważaj, żebyś czasem nie powiedział za dużo - ostrzegawczym tonem rzucił Reno.

- Wolnego, panie szefie! - odezwał się filozoficznym tonem kowboj. - Wywal pan potem mnie starego z roboty na zbity pysk, a niech tam! Ale ja teraz powiem wszystko, co mi od dawna leży na wątrobie. Zgoda?

- Mów, Lucky.

- No, to posłuchaj pan szczerą prawdę, szefie! Odkąd nieboszczyk, pan Bodine, drugi raz się ożenił, z pańską mamusią, nieboszczką panią Sheila, i odkąd państwo się do Broken Ground sprowadziło, nasza panienska miała tutaj istny krzyż pański.

- Chyba nie uważasz, że przeze mnie?

- Gdzież tam! Pan jesteś całkiem porządny chłopak.

A zresztą byłeś pan w tamtych latach przeważnie gdzieś po szkołach, na stacji w San Antonio, czy jak? Za to braciszek, świętej pamięci...

- Świętej pamięci, Lucky! - podkreślił Reno, przerywając kowbojowi. - Sam powiedziałeś.

- Bo tak się mówi, panie szefie, jak już kto trzaśnie kopytkami, żeby było elegancko. Nawet jak z tego kogoś był niezły gagatek!

- Mówisz tak o Beau?

- A jakże!

- Dlaczego?

- Pański braciszek jeszcze mały był, a już umiał wleźć wszystkim na głowę - wyjaśnił kowboj. - I swojej mamusi, nieboszczce pani Sheili, i nieboszczykowi panu Bodnie'owi, i tym dwóm głupim babom, co tu u państwa służyły w kuchni i na pokojach, tej Corrie i tej Hannah. Wszystko w tym domu tańczyło, jak on zagrał! Jedna tylko nasza panienka Caitlin nie chciała mu we wszystkim ustępować, no to jej za to dokuczał, ile wlaźło.

- Dopóki go w końcu nie utopiła, tak? - zjadliwie rzucił Reno.

- Bujda! To przecież był wypadek, panie szefie!

- Jesteś pewien?

- Tak samo jak tego, że się nazywam Lucky Reed, szefie, a nie na przykład Gary Cooper! - stwierdził kowboj. - Myśmy z Bobem Wilsonem i Tarem Baileyem przecież na własne oczy wszystko widzieli. I żeśmy powiedzieli potem szeryfowi na komisariacie i wysokiemu sądowi w trybunale, co i jak było. I szeryf Juno nam uwierzył, i pan sędzia...

- No wiem, wiem.

- Tylko nieboszczyk, pan Bodine, znów sobie coś ubrdał, i wyście w to uwierzyli, państwo Duvallowie, i te głupie ludzie z okolicy też uwierzyli... Że niby panienka Caitlin specjalnie... pańskiego braciszka... w tę wodę. A ona przecież nic z tych rzeczy, jak Boga kocham! - zapewnił z najwyższym przejęciem kowboj.

- Chociaż miałyby za co - dodał ciszej.

- Oszalałeś, Reed?! - wrzasnął Reno.

Zerwał się na równe nogi i zaczął nerwowym krokiem przemierzać gabinet tam i z powrotem.

- Masz na myśli te wszystkie szczeniackie psikusy Beau?
- wykrzykiwał. - Pociąganie Caitlin za włosy, przedrzeźnianie i tak dalej?

- Mam na myśli całkiem co innego, panie szefie
- stłumionym, ponurym głosem odpowiedział Lucky Reed, zastygły w fotelu jak posąg.

- Na przykład?

- Gwałt.

- Co???

Reno Duvall zatrzymał się w pół kroku.

- Coś ty powiedział, stary? - spytał zduszonym, schrypniętym z emocji głosem.

- To, coś pan słyszał, szefie. Gwałt - głucho powtórzył Lucky Reed. - Pański braciszek nastawał na cnotę naszej panienci Caitlin, jak to się kiedyś elegancko mówiło. Znaczący, próbował się do niej wtedy dobierać tam, w kanionie, zamiast ją jak najszybciej stamtąd zabrać. Na siłę się do niej dobierał.

- Jesteś pewien?

- No, przecież myśmy z Bobem Wilsonem i Tarem Baileyem na własne oczy to widzieli, z daleka, ale wyraźnie, jakeśmy wtedy jechali do kanionu na ratunek!

- Ale... nie powiedzieliście nic o tym... w śledztwie. - wykrztusił Reno.

Lucky Reed machnął ręką.

- A po co nam było po śmierci opinię psuć chłopakowi, nie wiesz pan czasem, szefie? - mruknął w zamyśleniu. - Młody jeszcze był, głupi. Jakby dłużej pożył, to może by trochę zmądrzał. A tak, nie zdążył.

- Niestety.

- Panienska Caitlin też nic nie mówiła u szeryfa, co Beau z nią chciał zrobić, zanim go woda ze sobą porwała - dodał kowboj po chwili.

- Nie mówiła, fakt. Tylko dlaczego?

- Pewnie i ona nie chciała pańskiemu świętej pamięci braciszki tej jego świętej pamięci zaszargać. Wolą ją oszczędzić, jak już nie żył. Chociaż jej samej to nigdy nikt w tym domu nie oszczędzał. Nawet pan, szefie!

Lucky Reed umilkł.

Reno Duvall spuścił głowę.

Lucky głęboko westchnął i powoli, jakby był ogromnie zmęczony, dźwignął się z fotela. Zbliżył się do Reno, spojrzał mu spod zmarszczonych, krzaczastych brwi prosto w oczy i zapytał:

- No to co, panie szefie, mam sobie szukać nowej roboty na starość?

Odpowiedź była krótka, zdecydowana i jednoznaczna:

- Nie!

- To i dobrze, bo jakoś się człowiek przez tyle lat przyzwyczaił - mruknął z gorzką satysfakcją Lucky i wycofał się w stronę drzwi.

W progu przystanął.

- To jak się panu zdaje, szefie, wyciągną jakoś ci miastowi doktorzy naszą panienkę Caitlin z tej całej biedy? - zapytał z niepokojem.

- Miejmy nadzieję, Lucky - odparł półgłosem Reno. - Miejmy nadzieję, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Miejmy nadzieję, że jeszcze wszystko będzie w tym domu w porządku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zbudził ją ból.

Bolało wszystko: głowa, ręce, nogi, całe ciało.

Jęknęła.

Bolało również gardło, zupełnie jakby było wypełnione żywym ogniem.

Ogień!

Wszystko ją pali... wszystko wokół się pali... ogień się pali... pali, jak ogień... wszystko ją pali... wszystko ją boli... Boli ją głowa... bolą ją ręce... bolą ją nogi... boli ją gardło... boli ją całe ciało.

Iskierki myśli, przebłyski skojarzeń pojawiły się na peryferiach jej przyćmionej, mętnej świadomości niczym błędne ogniki w mroku nocy, jednak prawie natychmiast przygasły, ustępując miejsca wszechogarniającemu, tłumiającemu wszystkie inne odczucia wrażeniu bólu.

- Boh - jęknęła.

- Co cię boli, Caitlin? Caitlin... co cię boli?

Co to? - zaczęła się gorączkowo zastanawiać.

Co to za głos?

Kto to pyta? I kogo pyta?

Pyta Caitlin.

A kto to jest Caitlin? - usiłowała sobie uzmysłwić. Caitlin to ja. Ja?

A gdzie ja jestem? I co się ze mną dzieje? Ktoś do mnie mówi. Kto to mówi? I co mówi?

Aha, pyta, co mnie boli.

Wszystko mnie boli, moja głowa, moje ręce, moje nogi, moje gardło, całe moje ciało!

- Wszystko boli - wykrztusiła.

- Zaraz jakoś sobie z tym poradzimy - odezwał się ten sam głos, co przed chwilą, łagodny, spokojny, ciepły, melodyjny, napawający otuchą.

Głos ten przebił się przez głuchą, martwą ciszę, jaka ją otaczała przedtem, zanim jeszcze padło tamto pytanie, a także potem, kiedy starała się powiązać to, co słyszy, z tym, co czuje i znaleźć w obolałej głowie słowa, które pozwoliłyby sensownie odpowiedzieć.

- Nie martw się, Caitlin, zaraz nie będzie cię bolało, nic się nie martw.

Ktoś nagle się wyłonił z otaczającego ją dotychczas mroku, ktoś się nad nią pochylił, jakiś mężczyzna w białym fartuchu. I czymś ją ukłuł w rękę.

- Dostałaś teraz dożylnie zastrzyk przeciwbólowy i uspokajający - powiedział. - Prześpisz po nim spokojnie kilka godzin, a jak się znowu obudzisz, będzie lepiej...

Obudził ją inny głos. Głębszy, mocniejszy, z nadmiaru emocji z lekka ochrypły i w związku z tym w pewien sposób drażniący.

- Nie śpisz? - zapytał.

Kto zapytał?

Ten ogromny, zwalisty cień, który zamajaczył jej nagle w polu widzenia.

Ten wysoki, barczysty, czarnowłosy i czarnooki mężczyzna, który zjawił się nagle tuż obok niej, który się nad nią pochylił.

Reno Duvall!

Tak, to był Reno Duvall z Broken Ground.

Tam był pożar! - skojarzyła. - Tam się paliło, jakiś budynek.

Stajnia dla koni!

I ona tam weszła, weszła w ogień, szukała chłopca, małego chłopca, znalazła go, próbowała wynieść na rękach, próbowała uratować mu życie...

Zycie...

W którymś momencie, jeszcze tam, w tych płomieniach, zdawało się jej, że umarła, bo nagle poczuła ból i zapadła się w ciemność, i ta ciemność ją otaczała, póki nie zjawił się anioł, cały w bieli...

Nie!

To był lekarz.

Zrobił jej zastrzyk i powiedział, że będzie po nim spała, a jak się zbudzi, to będzie jej lepiej.

Przecież pamięta, że tak powiedział, i pamięta Reno Duvalla z Broken Ground, i pamięta pożar stajni...

Wszystko pamięta!

To znaczy, że żyje?

Tak, ona z całą pewnością żyje. A ten chłopiec?

- Czy on żyje? - spytała.

- Kto?

- Ten chłopiec.

- Mały Billy Carnes?

- Tak.

- Żyje! - entuzjastycznie wykrzyknął Reno. - Trochę się podtruł dymem, ale w tej chwili już wszystko z nim w porządku. Uratowałaś go, Caitlin! Dzieciak miał więcej szczęścia, niż rozumu!

Szczęście.

A czy ja kiedykolwiek w życiu miałam szczęście?

- zamyśliła się Caitlin.

Chyba nie, odpowiedziała sobie z goryczą na własne pytanie. Bo przecież nikt nigdy mnie nie kochał, odkąd moja mama umarła, i nikogo bliskiego już potem nie miałam na

świecie, z wyjątkiem Maddie, i nikogo życzliwego, z wyjątkiem Reno, ale Maddie mnie przecież znienawidziła po wypadku Beau Duvalla, i Reno też mnie znienawidził, i najchętniej pewnie pozbyłby się mnie raz na zawsze z Broken Ground, i najchętniej zapomniałby w ogóle o moim istnieniu...

Więc po co tu przyszedł?

Po co właściwie Reno Duvall do mnie przyszedł?

- powtórzyła w duchu.

Najpewniej po to, żeby mnie znowu dręczyć! - niemal natychmiast odpowiedziała sobie w myślach, w najwyższym stopniu rozdrażniona. Przyszedł, żeby mi wmawiać, że zabiłam jego brata, że jestem niesprawiedliwie uniewinnioną morderczynią. I na dodatek bękartem, któremu nic się nie należy ze schedy po zmarłym ojcu.

O, nie! - obruszyła się.

Nie pozwolę się bezpodstawnie oskarżać, nie pozwolę odebrać sobie Broken Ground.

I nie pozwolę Reno Duvallowi tutaj być!

Przecież wcale nie chcę go widzieć, więc niech lepiej sobie idzie, niech się stąd wynosi.

- Wynoś się!

Starła się dobitnie, gniewnie krzyknąć, ale dźwięk, jaki z najwyższym wysiłkiem zdołała wydobyć z obolałego gardła, był ledwie czymś w rodzaju zduszonego pisku.

Mimo to ktoś go usłyszał, poza mężczyzną stojącym tuż obok niej.

Lekarz. Ten sam, którego wzięła za anioła, kiedy ocknęła się po raz pierwszy z niebytu. Rozpoznała go po spokojnym głosie, jakim poinstruował Reno:

- Przykro mi, panie Duvall, ale w tej chwili proszę już iść.

- No, ale będę mógł za jakiś czas znowu tu zajrzeć, doktorze, prawda?

- Proszę spróbować, panie Duvall. Tylko zaznaczam, pacjentce potrzebny jest odpoczynek i spokój, więc nic na siłę.

- Nie, nie, panie doktorze! - zapewnił Reno. - To ja już idę. Ale za jakiś czas wrócę.

- Nie wracaj! Niech pan mu zabroni tu wracać, doktorze!
- usiłowała zawołać Caitlin, ale zdobyła się jedynie na słabiutki szept, którego lekarz w ogóle nie usłyszał.

Reno Duvall wracał kilkakrotnie, jednak za każdym razem, gdy tylko pojawiał się na oddziale intensywnej terapii, w przeszklonej dyżurce pielęgniarki, Caitlin udawała po prostu, że śpi.

On zatrzymywał się więc tylko na chwilę przy jej łóżku i w milczeniu odchodził. A ona wówczas, odetchnąwszy z ulgą, najczęściej zasypiała naprawdę.

Przez cztery dni pobytu na oddziale intensywnej terapii spała prawie przez cały czas. Jej organizm, w spierany aplikowanymi przez lekarzy środkami znieczulającymi, reagował zapewne w ten sposób na poważny wstrząs psychiczny i fizjologiczny, jakim było zatrucie czadem i dość rozległe, choć na szczęście niezbyt głębokie oparzenia, połączone ze złamaniem nogi, urazem głowy i długotrwałą utratą przytomności. . Piątego dnia stan Caitlin poprawił się już na tyle, że przeniesiono ją z intensywnej terapii na internę, do nie - krępującego jednoosobowego pokoju.

Zażyczyła sobie wówczas, żeby nie podawano nikomu numeru jej separatki i żeby pod żadnym pozorem nie wpuszczano do niej nikogo w odwiedzin.

Ponieważ ze względu na opatrunek na głowie i nie wygojone jeszcze ślady oparzeń na twarzy wyglądała, prawdę mówiąc, nie najlepiej, personel szpitala potraktował jej życzenie z pełnym zrozumieniem. Nikt poza lekarzami i

pielęgniarkami do Caitlin Bodine nie wchodził, do pokoju przynoszono jej jedynie kwiaty.

Pierwszy bukiet był od Reno Duvalla.

Drugi od trzech kowbojów: Lucky'ego Reeda, Boba Wilsona i Tara Bailey'a.

Trzeci od Carnesów.

Carnesom Caitlin przesłała ze szpitala karteczkę z podziękowaniem. Do Lucky'ego, Boba i Tara zadzwoniła na ranczo. Natomiast nieoczekiwanie przyjazny gest Reno zdecydowała się zignorować.

Po następnych trzech dniach pobytu w szpitalu zdjęto jej część bandażu i pozwolono ostrożnie się poruszać z gipsowym opatrunkiem na nadwreżonej stopie. Zaczęła więc wstawać trochę z łóżka i odbywać, za pomocą inwalidzkiego chodzika, króciutkie spacerunki po pokoju.

Celem pierwszego z nich było duże lustro w łazience. Spojrzawszy na siebie po raz pierwszy po wypadku, Caitlin była niepocieszona.

Lekarze zapewniali ją wprawdzie, że wszystkie ślady na twarzy bezpowrotnie znikną, a drobne blizny mogą pozostać jedynie na plecach, bo tylko tam doszło do oparzeń drugiego stopnia, ona jednak bała się trwałych oszpeceń. I ogromnie z początku ubolewała nad utratą włosów.

Dość szybko jednak uzmysłowiła sobie, że mały Billy Carnes utraciłby w wyniku pożaru bez porównania więcej, niż ona, gdyby nie pośpieszyła mu na ratunek. Utraciłby wszystko. Utraciłby życie!

Więc jednak warto było zaryzykować, pomyślała i natychmiast przestała się martwić. Włosy odrosną, twarz się wygoi, wszystko będzie dobrze. No dobrze. Ale jak to właściwie będzie? zadała sobie w którymś momencie pytanie.

I zaczęła się zastanawiać nad przyszłością.

Po wielu godzinach rozmyślań doszła do wniosku, że jakkolwiek nie chce pozbawiać Reno Duvalla jego części schedy po ojcu, nie chce również mieszkać z nim po sąsiedzku, a tym bardziej we wspólnym domu.

Najlepiej więc będzie - snuła dalekosiężne plany

- jeśli odbiorę to, co mi się należy, w postaci gotówki i kupię sobie jakieś nieduże ranczo gdzieś daleko stąd, na przykład w Montanie. Będę tam mogła żyć i gospodarować spokojnie, a co najważniejsze, nie będę musiała widywać Reno i wysłuchiwać jego impertynencji.

Na razie sytuacja przedstawiała się tak, że Caitlin Bodine nie widziała Reno Duvalla od tygodnia.

Dyplomatycznie nie pokazywał się w szpitalu w Coulter City, a informacji o stanie jej zdrowia zasięgał jedynie przez telefon, u lekarza prowadzącego.

Ósmego dnia, gdy doktor oświadczył mu, że pacjentka wydobrzała już wystarczająco, by dalej kurować się w warunkach domowych, postanowił bez względu na wszystko ją odwiedzić.

- Musimy porozmawiać - stwierdził lakonicznie, wkroczywszy po południu, bez uzgodnienia i bez zapowiedzi, do jej szpitalnego pokoju.

- Ja nie mam ci absolutnie nic do powiedzenia. Reno - rzuciła oschle. - Idź sobie!

- Ale ja chcę ci coś powiedzieć i dlatego pozwól mi zostać, chociaż przez kilka minut - upierał się. - Musisz mnie wysłuchać, Caitlin!

- Muszę?

- To prośba.

- Więc mów, słucham - skapitulowała. - Może to jakoś przetrzymam.

Reno Duvall usiadł na krześle, w pobliżu łóżka. Pochylił się w stronę Caitlin, garbiąc się i opierając łokcie o kolana. I zaczął z cicha:

- Wiele o tobie w ostatnich dniach myślałem, wiesz? I sporo rozmawiałem z ludźmi...

- Też o mnie?

- Tak.

- A z kim, na przykład, można wiedzieć? - zainteresowała się.

- Najpierw z Lucky'm Reedem, a potem z innymi ludźmi z Broken Ground i z sąsiedztwa. Wszyscy cię podziwiają i wychwalają pod niebiosa, Caitlin. Stałaś się prawdziwą bohaterką.

- A byłam dotąd wyrzutkiem.

- Wszystko się teraz zmieniło.

- Jakim cudem?

- Przecież uratowałaś dziecko, z narażeniem własnego życia. To zrobiło na ludziach niesamowite wrażenie, Caitlin. I to wystarczyło, żeby uwierzyli, że wtedy, pięć lat temu, sąd miał rację, oddalając zarzuty mojej matki przeciw tobie. Ktoś taki, jak ty, nie może być...

- Morderczynią?

- Nie używajmy tego strasznego słowa, Caitlin - stwierdził z powagą Reno. - To naprawdę nie ma sensu. Pięć lat temu wydarzył się wypadek, nieszczęśliwy wypadek. I ofiarą tego wypadku był nie tylko mój młodszy brat, ale również ty.

- Ja przecież nie utonąłam!

- Ale dość ucierpiałaś od niesprawiedliwej nagonki, jaką po śmierci Beau urządziła na ciebie rodzina! Wszyscy się wzięli, jakby ich jakiś zbiorowy obłąd ogarnął. Moja matka oszkalowała cię w całej okolicy. Jess, twój własny ojciec,

wyrzucił cię z domu. Cioteczna siostra, Maddie, zerwała z tobą wszelkie kontakty.

- Ty przecież też nie byłeś lepszy - zauważyła Caitlin z goryczą.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznał Reno, opuszczając nisko głowę. - I czuję się winny z tego powodu

- szepnął. - I proszę cię o wybaczenie! - dodał głośniej, znów spoglądając Caitlin prosto w oczy. - Nie byłem wobec ciebie w porządku. Nikt z rodziny nie był. Beau też nie - podkreślił. - Lucky mi opowiedział...

- Więc już wiesz?

- Wiem - potwierdził Reno. - I tym bardziej czuję się winny! Jest mi po prostu strasznie wstyd, że ani wcześniej, przed wypadkiem, nie zorientowałem się, w co on gra i nie wzięłem cię w obronę, ani później, w czasie śledztwa i na rozprawie...

- Dobrze, że chociaż trzech kowboje stanęli po mojej stronie przed sądem - westchnęła Caitlin.

- Stanęli po stronie sprawiedliwości - uściślił Reno.

- Tymczasem rodzina potraktowała cię niesprawiedliwie.

- Fakt!

- Wszyscy jesteśmy wobec ciebie winni: ja, moja matka, Maddie St. John, twój ojciec.

- Nie przeczę.

- A już to, czego Jess przed śmiercią od ciebie zażądał, ten upokarzający test DNA, wpisany na domiar złego do testamentu, to po prostu szczyt niesprawiedliwości! Ja wcale nie chcę z tego korzystać, Caitlin - stwierdził Reno. - I dlatego wyniosę się niedługo z Broken Ground. Ranczo jest twoje! Zrób sobie z nim, co chcesz.

Reno Duvall umilkł.

Caitlin Bodine była zbyt zaskoczona tym wszystkim, co jej wyznał, żeby od razu w jakikolwiek sposób zareagować.

Zbyttnio była zdumiona nieoczekiwaną zmianą jego postawy, tudzież postawy całej lokalnej społeczności wobec niej, z niechętniej, a nawet wrogiej, na gloryfikującą, pełną podziwu, żeby od razu cokolwiek sensownego powiedzieć.

Dlatego w pierwszej chwili nie powiedziała nic.

Milczeli więc obydwój, wyraźnie zakłopotani wzajemną bliskością, a przede wszystkim zupełnie nową sytuacją, w jakiej się nagle znaleźli.

Wrogość, którą do tej pory wobec siebie odczuwali, była w pewnym sensie wygodna, ponieważ narzucała ich stosunkom konkretne ramy i formy. Była im drogowskazem, podpowiadała, dokąd mają zmierzać.

A teraz poczuli się mniej więcej tak, jak ludzie zmuszeni do zejścia z wyraźnie wytyczonej drogi i błędzenia po omacku w całkowicie nieznanym terenie.

To przecież strasznie trudne, tak wszystko między sobą pourządzać od początku, konstatowała w duchu Caitlin, leżąc nieruchomo na szpitalnym łóżku i starając się nie patrzeć na Reno, który, również znieruchomiały i zamyślony, siedział na krześle tuż obok. Coś wybrać, na coś się zdecydować. Na przykład na udawanie rodzeństwa. Albo na ostateczne odrzucenie fałszywego rodzinnego układu i pogodzenie się z faktem, że jesteśmy dla siebie zupełnie obcy.

Obcy!

Nie żadna siostra i żaden brat, tylko po prostu kobieta i mężczyzna.

Młoda samotna kobieta.

I młody samotny mężczyzna.

On ją kiedyś nawet lubił, gdy był młodym chłopcem, a ona jeszcze dzieckiem.

Ona nawet podkochiwała się w nim kiedyś potajemnie, jako nieopierzona podfruwajka...

Potem ich drogi się rozeszły. I teraz, po pięciu długich latach, i po dramatycznych wydarzeniach ostatnich kilku dni, zbiegły się znowu w kłopotliwym punkcie, w którym należałoby zacząć wszystko od początku.

A może nie warto? - zamyśliła się Caitlin. Może jednak byłoby lepiej pożegnać się we względnej zgodzie i raz na zawsze rozstać?

- Reno, ja też chcę się wynieść z Broken Ground - oświadczyła. - I w ogóle z Teksasu.

- Dlaczego? - zdziwił się.

- Zbyt wiele złego spotkało mnie w tym miejscu. Zbyt wiele tutaj doświadczyłam ludzkiej nienawiści.

- A może teraz wszystko by się już odwróciło na lepsze i przyszłaby pora na miłość?

Caitlin Bodine znów zaniemówiła.

Przypomniało się jej, jak dziwnie Reno na nią patrzył pierwszego dnia jej pobytu na ranczu, zanim pokłócili się przy śniadaniu, podczas którego nieopatrznie wspomniała w rozmowie imię Beau.

Wtedy, rankiem, przez krótką chwilę miała wrażenie, że on dostrzegł w niej kobietę. To wrażenie, niepokojące, ale w gruncie rzeczy przyjemne, bardzo szybko się wówczas rozwiało. A teraz powróciło, wprawiając ją w zakłopotanie.

Z tego zakłopotania wybawił ją dopiero lekarz, który wszedł do pokoju i spytał:

- Jak się czujemy?

- Całkiem dobrze, dziękuję - odpowiedziała Caitlin.

- To wspaniale - ucieszył się doktor. - Wszystko wskazuje na to, że już jutro wypiszemy panią do domu!

- Do domu? Jak to? - przeraziła się.

- Normalnie, jak wszystkich podleczonych pacjentów. Wypiszemy panią ze szpitala do domu na dalszą rekonwalescencję.

- Ale ja nie mam normalnego domu, doktorze! - stwierdziła.

- Nie mów tak, Caitlin! - obruszył się Reno. - Masz przecież Broken Ground. Wszyscy tam na ciebie czekają, jak na prawdziwą bohaterkę! Twój kowboje, Carnesowie z dziećmiakami, Mary. Będziesz miała na ranchu świetne warunki do rekonwalescencji. Stała opieka. Pomoc na każde żądanie. Życzliwych ludzi dookoła. Wygodny pokój, dobre powietrze, świetne jedzenie.

- No, chyba się pani w końcu skusi, panno Bodine - wtrącił lekarz tonem łagodnej perswazji. - Nasz szpital jest wprawdzie w miarę sympatycznym miejscu, ale spędzenie w nim kilku kolejnych tygodni nie wydaje mi się najlepszym rozwiązaniem.

- To aż tyle jeszcze musi potrwać moja rekonwalescencja? - zdziwiła się Caitlin.

- Trudno zaprzeczyć - potwierdził doktor. - Złamana kość musi się porządnie zrosnąć, żeby w przyszłości nie miała pani przypadkiem jakichś niepotrzebnych kłopotów w tańcu - zaczął wyliczać. - Głowa musi wydobrzeć. Oparzenia muszą się spokojnie zagoić, żeby na przyszłość nie zostało po nich śladu.

- Na pewno się zagoją?

- Do wesela na pewno! - zażartował lekarz. - O ile nie dojdzie do jakiejś wtórnej infekcji, a to w pełnym najrozmaitszych mikrobie szpitalu zawsze może się zdarzyć, więc...

- Więc proszę mnie wypisać, doktorze - zdecydowała Caitlin. - Zatrzymam się na jakiś czas w Broken Ground.

- Brawo! - wykrzyknął Reno.

- Ale jak tylko będę mogła, wyjadę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Caitlin Bodine strawiła całą noc na rozmyślaniach, czy postąpiła słusznie, decydując się na tymczasowy powrót do Broken Ground i spędzenie kilku tygodni rekonwalescencji w bezpośredniej bliskości Reno Duvalla.

A co ja zrobię, jak się okaże, że ta jego dzisiejsza skrucha lada chwila przeminie i znów zaczną się oskarżenia i pretensje? I nie będę mogła z nim wytrzymać pod jednym dachem? - zastanawiała się, pełna niepokoju. Teraz przecież, z nogą w gipsie i mnóstwem opatrunków, nie wsiądę na konia i nie wyniosę się z domu na cały dzień.

Będę więc musiała cierpliwie i potulnie znosić wszelkie humory Reno, nawet te najgorsze.

No, a co zrobię, jak się okaże, że on naprawdę coś zrozumiał i na dobre się zmienił? - rozważała dla odmiany zupełnie inną wersję rozwoju wypadków. Przecież jeśli on będzie dla mnie miły, jeśli będzie odnosił się do mnie przyjaźnie i życzliwie, tak jak kiedyś, to mogą odżyć dawne sentymenty...

Wielki Boże!

I co ja wtedy zrobię? - z przerażeniem deliberowała Caitlin. Co zrobię, jak się w nim znów zadurzę?

To przecież byłby całkiem fałszywy krok albo prawdziwy koniec świata!

I najgorsza katastrofa w moim życiu!

Niestety, nie było odwrotu.

Nazajutrz po śniadaniu lekarz dokładnie zbadał Caitlin i odbył z nią długą i poważną rozmowę, w toku której wyliczył jej punkt po punkcie, czego powinna jako rekonwalescentka unikać, a o co się starać i w ogóle, jakich zasad przestrzegać.

Po czym zaopatrzył ją po pierwsze, w plik recept, a po drugie, w poręczną laskę, wypożyczoną z magazynu ortopedycznego, i szybko wypisał ją ze szpitala, oddając pod opiekę Reno, który już od samego rana cierpliwie czekał w holu.

- Jedziemy prosto do domu? - rzucił na powitanie.

- Nie. Najpierw do apteki - odpowiedziała. - A potem może jeszcze do fryzjera.

Aptekarz obsłużył Caitlin Bodine bez kolejki, głośno pogratulował jej odwagi i serdecznie życzył szybkiego powrotu do zdrowia.

Fryzjerka ścięła jej nadpalone włosy „na koszt firmy”, starannie i niezwykle pomysłowo, żeby nikt się, broń Boże, nie dopatrzył na jej głowie żadnych krępujących śladów po pożarze.

- Nasza wspaniała bohaterka musi przecież mieć fryzurę bez zarzutu! - oświadczyła entuzjastycznym tonem, zadowolona z efektów swojej pracy i wyraźnie dumna, że dane jej było gościć tak niezwykłą klientkę.

- A widzisz, nieznośny niedowiarku? - odezwał się z promiennym uśmiechem Reno, kiedy po wyjściu z salonu fryzjerskiego oboje siedzieli już w jego terenowej furgonetce i jechali jedną z wylotowych ulic Coulter City, kierując się do Broken Ground.

- Co... niby?

- To, że wszystko się zmieniło!

- Pytanie, na jak długo? - westchnęła Caitlin, radośnie oszołomiona, ale i trochę przytłoczona zyskaną nagle w lokalnym środowisku popularnością.

- Na zawsze - stwierdził Reno z przekonaniem. - Tutejsi ludzie po prostu cię pokochali, już na dobre!

- Taki jesteś pewien cudzych uczuć wobec mnie? - spytała ironicznym tonem.

- Cudzych jak cudzych, ale własnych na pewno - odpowiedział z powagą.

Caitlin zbyt była wyczerpana nie przespaną nocą i pierwszą, wypełnioną zupełnie nowymi dla niej wrażeniami godziną pobytu poza spokojnym szpitalnym azylem, żeby analizować jego słowa. Przymknęła więc tylko oczy i nie wiedząc nawet kiedy - usnęła.

Obudziła się... w ramionach Reno Duvalla!

Niósł ją na rękach z samochodu do domu, na oczach Mary, która stała w progu i ocierała skrajem fartucha spływające jej ciurkiem po policzkach łzy wzruszenia.

W pierwszej chwili Caitlin zamierzała ostro zaprotestować, chciała stanowczo zażądać, żeby natychmiast ją postawił, podał jej laskę i pozwolił iść o własnych siłach. Jednak tych własnych sił miała jeszcze tak niewiele, że ostatecznie nie zdobyła się na protest. Oparła się więc tylko całym ciałem trochę wygodniej o muskularną męską pierś i pozwoliła się zanieść prosto do łóżka. Reno ułożył ją delikatnie na rozścielonym wcześniej przez troskliwą Mary kocu, podłożył jej pod głowę przygotowaną na tę okoliczność poduszkę, zdjął jej but z lewej stopy, tej bez gipsu. I powiedział po prostu:

- Witaj w domu, Catlin, i spokojnie odpoczywaj! A wychodząc z pokoju, dodał:

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to nawet nie musisz wołać, tylko zadzwoń.

- Czym? - zdziwiła się.

- Spójrz tutaj! - Wskazał na blat nocnej szafki. - Zamontowałem ci wczoraj wieczorem taki specjalny

magiczny guzik przy łóżku. Jak tylko go naciśniesz, zaraz do ciebie przybiegnę.

Caitlin Bodine spała kamiennym snem do późnego popołudnia.

Kiedy się wreszcie obudziła, najpierw pokuśtykała do łazienki, żeby się trochę odświeżyć i potem, po powrocie do pokoju, przysiadła znowu na łóżku, żeby odciążyć obolałą nogę.

Usłyszała wówczas pukanie.

- Tak? - rzuciła.

- To ja - zameldował się zza drzwi Reno. - Wiem, że już nie śpisz, bo usłyszałem stukanie gipsu o podłogę. Więc chciałem spytać, czy mogę znieść cię na dół, na spóźniony obiad?

- Ja... zaraz... sama zejść - wykrztusiła, zaskoczona propozycją.

Nie chciała, żeby Reno brał ją znowu na ręce. Bynajmniej nie dlatego, że było to dla niej aż takie przykre. Przeciwnie, właśnie dlatego, że było to aż takie przyjemne!

Zbyt przyjemne, żeby to powtarzać.

Zbyt niebezpieczne!

- Ja zejść... za chwilę... sama - powtórzyła.

- Jak chcesz - mruknął Reno.

Caitlin odczekała, aż jego kroki całkowicie ucichły na schodach i dopiero kiedy już była całkiem pewna, że oddalił się od jej drzwi i zszedł na dół, zaczęła się szybko przebierać.

Po chwili była gotowa. Przejrzała się w lustrze, ujęła szpitalną laskę i wyszła z pokoju na korytarz.

Do schodów miała zaledwie kilka kroków i ten odcinek drogi pokonała dość łatwo. Z zejściem z piętra na parter było jednak bez porównania gorzej.

Caitlin czuła się na tyle niepewnie na schodach, że mimo laski i poręczy aż się spociła ze zdenerwowania, nim w żółtym tempie pokonała wszystkie prowadzące z góry na dół stopnie.

Zawzięła się jednak i nie wezwała nikogo, żeby jej pomógł. Zdawała sobie bowiem sprawę, że z pomocą pośpieszy jej w pierwszym rzędzie Reno.

A ona przecież nie chciała korzystać w nadmiarze z jego usług.

Nie chciała się od niego uzależniać.

I w żadnym wypadku nie chciała dopuścić do siebie tyleż niepokojącej, co kuszącej myśli, że taki przystojny i silny mężczyzna, jak on, mógłby być dla niej prawdziwą podporą, nie tylko teraz, w czasie rekonwalescencji po wypadku, ale i w ogóle, w życiu.

Lekko krzywiąc się z bólu i ciężko oddychając z wysiłku, przeszła zatem o własnych siłach przez hol i dotarła do drzwi jadalni, Odpoczęła kilka sekund, zmusiła się do sztucznego uśmiechu i postukując laską, wkroczyła do środka.

Reno już siedział przy stole, ale nie zaczął jeszcze jeść, mimo że przyrządzone i podane przez Mary befsztyki z polędwicy, z jarzynami i smażonymi ziemniakami, kusząco parowały na talerzach i pachniały apetycznie jakąś oryginalną kompozycją ziołowych przypraw.

Na widok wchodzącej Caitlin, zerwał się na równe nogi i szarmancko pomógł jej zająć miejsce.

- Nie powinnaś się przemęczać chodzeniem - zauważył z wyraźnym wyrzutem.

- Nie powinnam też leżeć w bezruchu - odpowiedziała. - Tak mówił lekarz.

- Lekarz powiedział też, jak mi się zdaje, że potrzebna ci jest na razie stała opieka, a ty nie chcesz, żebym się tobą zajął.

- No, bo nie jesteś pielęgniarzem, tylko ranczerem i masz na głowie znacznie ważniejsze sprawy...

- Pielęgniarka ci tu nie sprowadzę - przerwał jej - nie myśl sobie, ale moglibyśmy przecież zaangażować na jakiś czas pielęgniarkę.

- Obejdzie się! - fuknęła zirytowana Caitlin.

- Ale przecież potrzebujesz kogoś, kto by się o ciebie zatroszczył - upierał się Reno.

- Nie!

- Dlaczego?

- Bo z powodzeniem troszczę się o siebie sama już od ósmego roku życia!

- To znaczy od śmierci matki? - rzucił pytającym tonem Reno.

Caitlin nie odpowiedziała.

Pochyliła się nad talerzem i zaczęła kroić swój befsztyk tak energicznie, jakby zamierzała przy okazji podzielić na mniejsze części również talerz, a może nawet i stół.

Reno Duvall też zajął się jedzeniem. Posiłek skonsumował w milczeniu i dopiero kiedy Mary zebrała talerze i sztucce po daniu głównym, a podała kawę, odezwał się do Caitlin:

- Wiesz, odesłałem do San Antonio ten twój samochód z wypożyczalni.

Spojrzała na niego spod oka.

- Tak bez pytania? - rzuciła.

- Byłaś w szpitalu, nie chciałaś mnie do siebie wpuścić, więc nie mogłem zapytać - wyjaśnił. - Ale pomyślałem, że nie ma sensu...

- Pomyślałeś za mnie? Wzruszył ramionami.

- Na to wychodzi - przyznał.

- Zaczynasz kierować moim życiem.

- No, przecież potrzebujesz kogoś, kto by się o ciebie zatroszczył! - Reno powtórnie wypowiedział zdanie, które

padło już wcześniej w rozmowie i o mało co nie przekształciło jej w kłótnię.

- Przecież ci powiedziałam, że nie! - zniecierpliwiła się Caitlin. - Jestem pod każdym względem całkowicie samowystarczalna.

- Nieprawda!

- Prawda!

- Oj, bo zaraz ci udowodnię, że nie!

- Niby jak?

Reno nic nie odpowiedział na to pytanie. Uśmiechnął się tylko tajemniczo, mrużąc z lekka swoje czarne oczy, które rozbłysnęły w tym momencie jakimiś iście diabelskimi ognikami, po czym odstawił filiżankę i wstał od stołu. I zanim Caitlin zdołała się zorientować w jego niecnym zamiarach, porwał ją na ręce!

- A widzisz? - mruknął, krocząc zamaszyście przez jadalnię w stronę drzwi.

- Postaw mnie natychmiast! - zażądała.

- Nie możesz sama tyle chodzić - odparł spokojnie, miarowym krokiem idąc z nią dalej, przez hol w kierunku swego gabinetu. - Potrzebujesz wsparcia.

- Mam laskę!

- Ale potrzebujesz człowieka - stwierdził Reno. - Najlepiej mężczyzny.

- Nie!

- A jak ci udowodnię?

Byli już w gabinecie. Reno Duvall zatrzasnął za sobą drzwi kopniakiem i nie wypuszczając Caitlin z ramion, zatrzymał się pośrodku pomieszczenia.

I pocałował ją.

Mocno, gorąco, namiętnie. Prosto w kuszące, naturalnie koralowe usta, które akurat rozchyliła, żeby po raz wtóry ze złością zażądać uwolnienia i postawienia na podłozie.

Nie mogła nic powiedzieć.

Nie mogła również uciec, skoro wciąż trzymał ją na rękach.

Nie mogła zupełnie nic na to poradzić, że on ją całuje, a ona...

A ona czuje się pod wpływem tego pocałunku z każdą upływającą sekundą coraz to bardziej podekscytowana, zelektryzowana, rozgorączkowana...

A ona robi się z każdą upływającą sekundą coraz to mniej ostrożna, mniej rozsądna, mniej stanowcza...

Coraz to mniej samowystarczalna!

Coraz to bardziej spragniona mężczyzny!

Tego mężczyzny.

Tego właśnie mężczyzny, w którym się kiedyś tak beznadziejnie durzyła, gdy on był jeszcze młodzieńcem, a ona zbuntowaną przeciwko całemu światu i nie kochaną przez nikogo nastolatką.

Tego właśnie mężczyzny, z którym bezwzględny los rozdzielił ją na pięć nieskończenie długich, omoczonych wzajemną nienawiścią lat.

Tego właśnie mężczyzny, z którym obawiała się zamieszkać pod jednym dachem, przeczuwając podświadomie, że dawne sentymenty mogą wrócić, gdyż tak naprawdę nigdy całkowicie nie wygasły.

Tego właśnie mężczyzny... Czyli... Reno Duvalla!

Caitlin uświadomiła sobie, że nieprzytomnie pragnie Reno, że traci zmysły w jego ramionach, że zapomina o całym świecie, czując na swoich ustach ogień jego warg, że gotowa jest dla niego na wszystko.

A jeśli on wykorzysta mnie i potem od siebie odepchnie? - przemknęła jej nagle przez głowę myśl niepokojąca i ostra, niczym sygnał alarmowego dzwonka.

A jeśli on chce tylko w pośpiechu zaspokoić własne żądze, a przy okazji perfidnie mi udowodnić, że będąc owocem grzesznej namiętności matki, sama również nie potrafię panować nad pożądaniem i gotowa jestem bez większych oporów oddać się facetowi, który nawet się nie wysilił, żeby mi bąknąć cokolwiek o uczuciach?

Szarpnęła głową w bok, odrywając w ten sposób usta od jego warg.

I krzyknęła histerycznie:

- Nie!!!

Jej nienaturalnie ostry, przenikliwy, rozwibrowany emocjami i równocześnie zdławiony przerażeniem głos podziałął na niego niczym prąd elektryczny.

Reno Duvall otrzeźwiał nagle z erotycznego zamroczenia i zapomniał o niewczesnych amorach, przypomniał sobie natomiast o wszystkich emocjonalnych ciosach i urazach, jakich Caitlin Bodine zdążyła doznać w ciągu swego młodego życia. Miała dopiero dwadzieścia trzy lata, lecz jej życie było dramatycznie powikłane i przytłaczająco trudne.

Do licha!

I ja miałbym jej jeszcze coś do tego przekłętogo balastu dołożyć, zabawiając się w uwodziciela? - wściekł się w duchu na samego siebie.

Przecież ja... ja przecież... - Zaczął gorączkowo szukać właściwych pojęć dla wyrażenia swoich chaotycznych nieco myśli. - Ja chciałbym właśnie ochronić ją przed przykrościami... chciałbym jej pomóc... chciałbym otoczyć ją opieką.

Bo przecież ja ją kocham! - uzmysłowił sobie jasno i wyraźnie.

Przecież ją kocham już od wielu lat, tylko nigdy nie wystarczyło mi odwagi, żeby otwarcie się do tego uczucia przyznać.

Nie wystarczyło mi odwagi, żeby się przyznać do tej miłości przed nią, przed Jessem, przed matką, przed ludźmi z okolicy, przed całym Teksasem, całą Ameryką, całym światem.

I nawet przed samym sobą! - stwierdził w duchu. Po czym ostrożnie, delikatnie posadził szarpiącą się w jego ramionach Caitlin na sofie.

Sam przysiadł tuż obok niej i ujął ją delikatnie za rękę. I całując jej drobną dłoń, szepnął ze skrucą:

- Przepraszam cię, Caitlin. Ten mój wyskok... To było nie w porządku wobec ciebie.

- Znowu? Historia się powtarza? - rzuciła z ironią i goryczą.

- Nasza wspólna historia jeszcze się tak naprawdę nie zaczęła - stwierdził filozoficznie.

- I nigdy się tak naprawdę nie zacznie, bo to nie miałyby ani odrobiny sensu. Lepiej będzie, jak wrócę do siebie! - oświadczyła Caitlin.

- To znaczy?

- Na razie na górę, do mojego pokoju. A potem do Montany, jak tylko to będzie możliwe.

- Zaniosę cię.

- Do Montany? - zakpiła.

- Choćby na koniec świata, jeśli tylko zechcesz i jeśli pozwolisz mi tam ze sobą zostać! A na razie do twojego pokoju na piętrze. Pozwolisz?

Reno wstał z sofy i nachylił się, żeby znowu wziąć Caitlin na rękę.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. - Pójdę sama, tylko przynieś mi laskę.

- Jak chcesz - zgodził się z rezygnacją. Wyszedł i wrócił z laską.

Pomógł Caitlin podnieść się z sofy, ale nie odprowadził jej, choćby do schodów, tylko sam usiadł na zwolnionym przez nią miejscu. A potem, spoglądając w posepnym milczeniu, jak kuśtyka w stronę drzwi, pomyślał melancholijnie, że złamana noga zagoi się jej z pewnością znacznie szybciej niż złamane serce, cierpiące od dzieciństwa na stokroć gorszy od każdej awitaminozy chroniczny niedostatek miłości.

- Dopóki ta dziewczyna nie zazna uczucia i sama kogoś nie pokocha, będzie tak kuśtykała przez całe życie, nawet na zdrowych nogach - mruknął posepnie.

I zaczął się usilnie zastanawiać, jak doprowadzić do tego, by uczuciowe kuśtykanie Caitlin Bodine skończyło się jak najszybciej, koniecznie jeszcze przed zdjęciem gipsu, skoro tylko ten gips trzyma ją w rodzinnym domu w Broken Ground i uniemożliwia jej ucieczkę do Montany.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Znalazłszy się u siebie na górze, Caitlin natychmiast położyła się spać i przespała kamiennym snem osoby skrajnie wyczerpanej albo śmiertelnie zmęczonej cały wieczór i całą noc, aż do dziewiątej rano.

Obudziła się pokrzepiona.

Na dworze świeciło przepiękne teksańskie słońce, w jej przytulnym, choć dość przestronnym pokoju było cicho i bezpiecznie.

Kojąca, trochę senna cisza panowała zresztą na całym pierwszym piętrze rezydencji.

Natomiast z dołu, z parteru, niosły się stłumione odległością odgłosy kuchennej krzątaniny, ponieważ Mary, jak każda dobra gospodyni, była zapobiegliwa, przezorna i punktualna, toteż rozpoczynała przygotowania do obiadu w zasadzie od razu po śniadaniu.

Moja mama chyba też była właśnie taka, uzmysłowiła sobie Caitlin, nieoczekiwanie dla samej siebie cofając się myślami do czasów, które pamiętała jak przez mgłę. Przez cały dzień, od rana do wieczora, krzątała się po domu, zawsze pogodna i uśmiechnięta. Dbała o wszystko i wszystkich, a w pierwszym rzędzie o ojca i o mnie.

I nie zatrudniała nikogo do pomocy nawet w cięższych i mniej wdzięcznych pracach, chociaż mogła sobie na to pozwolić, a będąc piękną, pełną uroku i towarzyskich zalet kobietą, mogła szukać dla siebie pola do popisu gdzie indziej, niż tylko wśród garnków w kuchni i wśród dziecięcych zabawek w moim pokoju.

Moja mama była naprawdę dobrą matką, stwierdziła w duchu Caitlin. Troskliwą, czułą, oddaną. Kiedy umarła, już nikt nie wypełnił pustki, jaka po niej powstała, w moim życiu i w sercu.

A jaką była żoną? - zaczęła się zastanawiać.

Urodziwą na pewno.

Ale czy wierną?

Czy podejrzenia ojca, że to nie on mnie spłodził, były tylko wytworem jego chorobliwej wyobraźni patologicznego zazdrośnika, czy może efektem jakichś rzeczywistych wydarzeń z życia małżeńskiego rodziców, o których, jako małe, kilkuletnie dziecko, nie mogłam mieć pojęcia?

Nie będąc w stanie w żaden sposób rozstrzygnąć tego problemu, Caitlin porzuciła wspomnienia i wróciła myślami do terażniejszości. Postanowiła mianowicie popracować po śniadaniu nad swoją nadwątloną mocno kondycją i wybrać się na trochę dłuższy spacer.

Im prędzej zacznę się swobodnie poruszać, i to nie tylko po domu - doszła do wniosku - tym szybciej zakończę rekonwalescencję, uniezależnię się od Reno i zacznę żyć na własny rachunek.

Bo o co mi w życiu tak naprawdę chodzi, do licha? - postawiła w duchu ogromnie zasadnicze pytanie.

O uczuciową niezależność, odpowiedziała sobie.

Czyli o to, żeby broń Boże nie dać się nikomu najpierw omotać, a potem zranić, zignorować, odrzucić.

A sentymenty, a emocje? - kontynuowała myślowy dialog z samą sobą.

Machnęła lekceważąco ręką.

Do diabła z nimi!

A zmysły?

Wspomnienie niezwykłych wrażeń, jakich doznała poprzedniego wieczora w ramionach Reno Duvalla, wzbudziło

u niej lekki i nie całkiem przykry, choć też nie całkiem przyjemny dreszcz.

Jeśli pod wpływem zmysłów kobieta jest w stanie tak łatwo poddać się woli mężczyzny, o ile tylko przyciągają do niego jakaś tam damsko - męska chemia czy inna niebezpieczna chimera, to lepiej wyrzec się zmysłowych przyjemności i zachować wolność, skonstatowała.

Po czym, bez ociągania się, wstała z łóżka, wzięła chłodny prysznic, ubrała się i zeszła na śniadanie.

Natychmiast po posiłku, podziękowawszy Mary, wyruszyła z laską na spacer.

Przeceniła swoje siły.

Odeszła dość daleko od domu, kierując się pięknie osłonecznioną dojazdową drogą w stronę głównej autostrady. I nagle zorientowała się, że chyba nie da rady wrócić. Nadwreżona stopa rozbolała ją piekielnie, wszystko wokół zaczęło jej wirować przed oczyma, brakowało jej tchu w płucach, na przemian robiło się jej zimno i gorąco. Zdezorientowana i przestraszona, przysiadła na jakimś przydrożnym kamieniu.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli zasłabnie w osamotnieniu i przeleży południe na odkrytej przestrzeni w piekącym teksańskim słońcu, to może doznać udaru i nigdy już się z niego nie ocknąć.

- Boże, tylko nie to! - jęknęła.

Po czym zmobilizowała wszystkie siły woli, dźwignęła się i ruszyła w stronę domu.

Szła w żółtym tempie, co kilka kroków zatrzymując się dla odciążenia obolałej nogi, zaczerpnięcia głębszego oddechu i otarcia rękawem kraciastej koszulowej bluzki zimnego potu z czoła.

Szła i modliła się w duchu tylko o jedno: żeby nie zemdleć i nie upaść. Bo o tym, że na opustoszałej całkowicie drodze

mógłby ją ktoś odnaleźć i zabrać bezpiecznie do domu, nawet nie marzyła.

Wolała się nie łudzić.

Wolała przyjąć, że jest zdana wyłącznie na siebie.

Przecież nikt tędy nie jeździ o tej porze, powtarzała sobie w myślach z rezygnacją. Wszyscy są teraz zajęci jakąś tam pracą na ranczu, przy bydle na pastwiskach, przy drobiu w obejściu, przy garnkach w kuchni.

To byłby cud, gdyby ktokolwiek tędy przejeżdżał! A przecież cudów nie ma, niestety.

A jednak cuda niekiedy się zdarzają.

Reno Duvall wybrał się tego dnia w rejon rancza, którego prawie nigdy nie wizytował, ponieważ ze względu na bezpośrednią bliskość ruchliwej, między - stanowej autostrady od dawna nie wypasano tam bydła.

I właśnie wracał konno do domu, kiedy, zbliżywszy się do dojazdowej drogi, spostrzegł z daleka postać samotnego, wspartego na lasce wędrowca, który dreptał w kierunku Broken Ground z wyraźnym wysiłkiem, słaniając się na nogach i zatrzymując się co kilka kroków.

Choć rysów twarzy nie był w stanie jeszcze z dystansu rozpoznać, domyślił się, kto to jest i zdenerwowany przynaglił konia do szybszego biegu.

- Dziewczyno! I co ty najlepszego wyprawiasz, do licha?!
- krzyknął na Caitlin, kiedy już znalazł się w pobliżu niej. - Na piechotę wybierasz się do Montany, do tego na kulawej nodze?

- No, przecież chyba widzisz, że nigdzie się nie wybieram, tylko właśnie wracam! - odburknęła, robiąc marsową minę, choć w głębi duszy była uszczęśliwiona, że Reno ją odnalazł.

- A skąd ty wracasz, można wiedzieć?

- Ze spaceru. Mój lekarz z Coulter City kazał mi przecież spacerować.

- Bój się Boga, dziewczyno, powinnaś spacerować po domu albo najwyżej po zacienionym ogrodzie, a nie pustą, osłonecznioną drogą przy trzydziestostopniowym upale! - Reno zaczął ostro strofować Caitlin, zirytowany jej karygodną lekkomyślnością. - Żeby się tędy wlec w takim stanie, to chyba trzeba mieć coś z głową...

- Ja właśnie mam! - palnęła, przerwawszy mu reprimendę w pół zdania. - Przecież nie tak dawno temu spadła mi na głowę belka.

Była rozbrajająca.

Reno Duvall nie wytrzymał i mimo zdenerwowania głośno się roześmiał.

Caitlin Bodine również wybuchnęła gromkim śmiechem, zupełnie nie zważając na to, że zużywa w ten bezproduktywny sposób ostatnie rezerwy energii i traci w związku z tym resztki władzy w omdlałych z ogólnego osłabienia rękach i nogach.

Wciąż roześmiana nagle zachwiała się, zatoczyła... I pewnie rymsnęłaby jak długa na drogę, gdyby Reno nie przegiął się w porę w siodle niczym cyrkowy mistrz woltyżerki, nie objął jej w pól i nie wciągnął na koński grzbiet.

- Jazda ci chyba nie zaszkodzi, tylko nie spadnij - mruknął, przyciskając ją jedną ręką do siebie, a drugą trzymając wodze.

Caitlin nic na to nie odpowiedziała. Zrobiło jej się bowiem nagle tak błogo, tak bezpiecznie, że musiałaby powiedzieć Reno coś miłego, a na to ciągle nie potrafiła się zdobyć.

Może z kobiecej przekory?

A może raczej z obawy, żeby przypadkiem się nie wydało, że jest jej z nim po prostu dobrze?

Jechali dość długo, chociaż do domu było całkiem niedaleko, bo koń szedł stępa, a Reno nawet nie próbował go popędzać.

Uważając, żeby Caitlin przypadkiem nie spadła, tulił ją do siebie, obejmując mocno lewym ramieniem mniej więcej na wysokości biustu. A ona ani nie próbowała się wyrwać, ani nawet nie protestowała przeciwko takiej nieco nad miarę poufalej asekuracji.

Nie miała siły, to jedno. Ale po wtóre, prawdę powiedziawszy, nie miała również chęci. Było jej naprawdę miło, jakkolwiek nie przyznawała się do tego nawet przed samą sobą.

Wolała na własny doraźny użytek przyjąć, że nie odzywa się, bo całkiem zaschło jej w gardle w upale, a nie odpycha od siebie Reno tylko dlatego, że ręce ma zajęte, gdyż trzyma w nich swoją laskę.

Podjechali pod same drzwi domu.

Reno pomógł Caitlin zsiąść i upewniwszy się, że jest w stanie utrzymać się na nogach, zostawił ją samą i skierował konia w stronę jednej ze stodół, która tymczasowo, po pożarze, pełniła rolę stajni.

Dość długo stała w progu i spoglądała na przystojnego jeźdźca. A potem pokuśtykała do swojego pokoju i wzięła dla odświeżenia zimny prysznic.

Kiedy Reno wrócił do domu na lunch, zastał Caitlin w salonie. Spała w najlepsze w fotelu, na siedząco.

Nie obudził jej na posiłek, tylko wycofał się z salonu na palcach i przeszedł do kuchni.

Zjadł w pojedynkę, przestrzegając Mary, żeby podała wyczerpanej forsownym spacerem rekonwalescentce lunch dopiero wtedy, gdy ta do woli wypocznie i sama się ocknie.

Kolację jedli już razem, w pokoju jadalnym.

Reno Duvall, mocno zmęczony całodzienną pracą na powietrzu, w teksańskim upale, prawie się nie odzywał przy posiłku.

Caitlin również milczała, ale wyglądała na odprężoną i jadła z apetytem.

Po kolacji wstała od stołu, powiedziała „dziękuję” i przeszła do saloniku na telewizję.

On zajrzał tam po chwili, ale powiedział jej tylko „dobranoc” i zamknął się na cały wieczór w swoim gabinecie, żeby posiedzieć nad papierkową robotą.

Przez pierwszy tydzień po powrocie ze szpitala Caitlin przesypiała w ciągu każdego dnia wiele godzin, a po fatalnych doświadczeniach pierwszego, niefortunnego spaceru, na wszelki wypadek prawie wcale nie wychodziła z domu.

Ponieważ Reno dla odmiany spędzał całe dni, od rana do wieczora, poza domem, na ranczu, widywali się z reguły tylko przy kolacji. Jedli wieczorny posiłek razem, ale rozmawiali przy stole niewiele, a jeśli już, to wyłącznie o obojętnych, neutralnych sprawach.

Dopiero siódmego z kolei wieczora Reno odważył się wspomnieć Caitlin o Carnesach.

- Ci poczciwi ludzie - oznajmił - są ci niesamowicie wdzięczni, że z narażeniem własnego życia wyciągnęłaś ich nieznośnego dzieciaka z płonącej stajni i chcieliby ci za to osobiście podziękować, ale po prostu boją ci się pokazać na oczy.

- A czemu to? - zdziwiła się Caitlin.

- No, bo przecież ostro zapowiedziałaś Deanowi, jeszcze przed pożarem, że jak nie wybije chłopakom z głowy zabawy zapalkami i pokątnego kopcenia papierosów w

nieodpowiednich miejscach, to wylejesz go z roboty i wyrzucisz ze służbowej kwatery.

Caitlin westchnęła.

- I tak powinnam zrobić, gdybym chciała postąpić konsekwentnie - stwierdziła.

- A zrobisz? - spytał Reno, zmrużywszy filuternie czarne oczy.

- Nie - odpowiedziała z uśmiechem.

- Bo?

- Bo jakoś zmięklam ostatnio - przyznała się. - A poza tym mam wrażenie - dodała - że Dean i jego żona dosyć już mieli kłopotów w tych ostatnich dniach, a ich chłopcy pojęli w końcu, nawet bez bicia, że z ogniem nie ma żartów. Zwłaszcza mały Billy, bo jego ta lekcja ostrożności naprawdę dużo kosztowała.

- Ciebie też.

- Ze mną to zupełnie inna sprawa. Wiedziałam, że ryzykuję, kiedy szłam w ogień i świadomie decydowałam za własne ryzyko zapłacić. Sama! - podkreśliła. - Ale jeśli chodzi o koszty odbudowy tej spalonej stajni, to... - zawiesiła głos.

- To co? Chcesz nimi obciążyć Deana? Caitlin wzruszyła ramionami.

- Właściwie tak należałoby zrobić, chcąc postąpić konsekwentnie - stwierdziła. - Ale chyba podzielimy je po połowie między siebie, prawda?

- Jasne! - skwapliwie przytaknął Reno, wyraźnie uradowany.

- A Carnesowi przejedziemy się po premii, ale tylko tak symbolicznie, żeby wiedział, że Caitlin Bodine nie rzuca słów na wiatr. Zgoda?

- Ma się rozumieć! A więc...

- Więc im powiedz, że ich nie zjem i mogą śmiało do mnie wejść na kilka minut... któregoś dnia.

- A może najlepiej niech przyjdą od razu? - Reno Duvall zdecydował się kuć żelazo póki gorące.

- Niech ci będzie - zgodziła się Caitlin, najpierw machnąwszy ręką.

- To ja w takim razie po nich pójdę, jak tylko skończymy kolację.

Carnesowie zameldowali się we dwójkę, nieśmiało uśmiechnięci i wyraźnie skrepowani.

- My bardzo panią przepraszamy, panno Bodine. I bardzo pani dziękujemy! - wykrztusiła z przejęciem pani Carnes, przełykając łzy.

- Będziemy dozgonnie wdzięczni, panno Bodine. I ja odpracuję całą szkodę, co do centa! - zadeklarował zdławionym głosem jej mąż, Dean, mnąc ze zdenerwowania w rękach swój kowbojski kapelusz.

- Słyszałam od pana Duvalla, że jest pan bardzo dobrym pracownikiem, panie Carnes - odezwała się na to Caitlin, mimo wzruszenia spotkaniem i zakłopotania całą sytuacją, starając się mówić spokojnie i panować nad emocjami. - Ale za tę spaloną stajnię przejedziemy się po pańskiej premii, nie ma wyjścia. I przy budowie będzie pan musiał pomagać po godzinach za najniższą stawkę.

- Będę harował nawet za friko, panno Bodine! - wykrzyknął kowboj. - Tylko proszę już nie mieć ani do nas, ani do tych naszych dwóch gagatków pretensji.

- Już nie mam pretensji, panie Carnes - ucięła krótko Caitlin.

- To my z żoną prześlicznie pani dziękujemy, panno Bodine! - ucieszył się Dean. - I chłopaków przyślemy z kwiatami, żeby podziękowali.

- Sama ich poszukam, jak już będę się lepiej czuła. I pogonię do czyszczenia koni, żeby się znowu przypadkiem nie nudzili i nie próbowali eksperymentować z zapalkami i tytoniem dla zabicia czasu.

- O, to, to, panno Bodine! Trzeba ich zdrowo pogonić! - włączyła się znowu do rozmowy pani Carnes. - A na razie nakażę obydwu huncwotom, żeby codziennie się modlili o pani zdrówko, rano i wieczorem.

- A jeszcze i w południe nie zaszkodzi - dorzucił kowboj.

- Ojej, bo w końcu świętą przez te ich modlitwy zostanę!
- zażartowała Caitlin.

- Pani to już jest dla nas jak święta - stwierdziła z całkowitą powagą pani Carnes. - Sama Opatrzność panią zesłała naszemu dziecku na ratunek!

- Co racja, to racja - przytaknął Dean.

Zawstydzona Caitlin splonęła rumieńcem, podziękowała Carnesom za wizytę i przeprosiła, że nie zatrzymuje ich dłużej.

- Trochę jeszcze jestem niedysponowana - wyjaśniła. Po czym odprowadziła Deana Carnesa i jego małżonkę do holu.

Kiedy Carnesowie pożegnali się i wyszli, ze swego gabinetu na parterze wyjrzał Reno.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Owszem - odpowiedziała. - Sprawa definitywnie załatwiona.

- To dobrze. Bo jutro masz do załatwienia coś innego, pamiętasz?

- Nie bardzo - przyznała się Caitlin, bezradnie rozkładając ręce.

- A ja pamiętam i nawet zapisałem w terminarzu. Na jutro masz zaplanowaną kontrolną wizytę u swojego lekarza w Coulter City.

- Prawda, przecież doktor mi zapowiedział, żebym się zgłosiła do niego po tygodniu na badanie!

- Więc bądź gotowa na dziesiątą. Zostawię na kilka godzin robotę na ranczu i zawiozę cię do miasta.

- Dzięki!

- Nie ma za co. Przecież sam obiecałem doktorowi, że będziesz miała wszystko, co potrzebne do rekonwalescencji u nas, w Broken Ground.

- U nas? - zachnęła się Caitlin

- No, znaczy u mnie i u Mary - wyjaśnił pośpiesznie Reno Duvall, nie chcąc jej niepotrzebnie denerwować. - Ale właściwie to u siebie, bo przecież ten dom jest twój, i to ranczo...

- Daj spokój, bardzo cię proszę! - przerwała mu Caitlin. - Ja dobrze wiem, że gdyby nie twoja wieloletnia ciężka praca, i to za friko, jak mówi Dean Carnes, z tego domu i z tego rancza pozostałaby do tej pory tylko ruina i pustynia. Połowa Broken Ground należy do ciebie, to oczywiste, zgodnie z testamentem ojca. A z tej drugiej połowy będziesz mógł mnie spłacić, gdybyś chciał, bo ja się stąd wynoszę, jak tylko wyzdrowieję.

- Przecież to ja się wynoszę, jak ty wyzdrowiejesz i dasz radę sama prowadzić gospodarstwo!

- Przecież ci powiedziałam, że ja!

- To może, zanim się pokłócimy, oboje na razie wynieśmy się ... do naszych łóżek?

- Cóż, nawet niezła myśl - zgodziła się Caitlin, nastawiona tego wieczora zdecydowanie ugodowo. - Do jutra, Reno!

- Do jutra. Miłych snów!

Reno Duvall wyszedł powoli z gabinetu i stanął tuż przy schodach, tak żeby Caitlin, idąc do swojego pokoju, musiała przejść tuż obok niego.

A kiedy była blisko, przytrzymał ją delikatnie za ramiona i na dobranoc leciutko cmoknął w czoło.

Doktor ocenił stan Caitlin jako niezły, ale przestrzegł ją, by nadal na siebie uważała i oszczędzała zarówno nadwerężoną nogę, jak i wciąż trochę obolałą głowę.

- Noga, to rozumiem - stwierdziła - za dużo nie chodzić i tyle. Ale głowa, doktorze?

- Za dużo nie myśleć - odparł lekarz pół żartem, pół serio.
- A poza tym nie denerwować się, nie przejmować się niczym, unikać niepotrzebnych wzruszeń...

- A potrzebnych? - Caitlin podchwyciła żartobliwy ton doktora.

- Cóż, z tymi może być troszeczkę gorzej. W każdym razie - podsumował lekarz - proszę nadal tak trzymać, jak do tej pory, panno Bodine, a wszystko na pewno będzie dobrze. Niech pani dużo odpoczywa, jak najwięcej śpi, dobrze się odżywia i spokojnie regeneruje siły. A do wesela i głowa, i noga się zagoi...

- Panie doktorze! - obruszyła się Caitlin. - Ja przecież wcale nie zamierzam brać ślubu, więc cóż pan znowu z tym weselem!

- Tak się mówi - wyjaśnił lekarz. - A zresztą, panno Bodine, czy warto się zarzekać? - dodał, puszczając do pacjentki perskie oko.

- Caitlin, no i co ci twój doktor powiedział? - spytał Reno.
Podczas wizyty czekał w szpitalnym holu i podbiegł do niej natychmiast, ledwie wysunęła się ze swoją laską z lekarskiego gabinetu.

- Powiedział, że nie warto się zarzekać - mruknęła z lekka naburmuszona.

- Nie rozumiem.

- To nawet lepiej. Jedźmy do domu!

- A może zostalibyśmy jeszcze trochę w mieście?

- zaproponował Reno. - Moglibyśmy wstąpić gdzieś razem na lunch.

- Zgoda - przystała po chwili zastanowienia Caitlin.

- Jaki bar proponujesz?

- Żaden bar, bez przesady! - obruszył się.

- Więc co, w takim razie?

- Jest tutaj niedaleko od szpitala taka nowa, całkiem porządna restauracja. Z dobrą kuchnią, klimatyzowaną salą. Ja oczywiście zapraszam!

- Przyjmuję zaproszenie. Tylko żebyś później tego nie żałował - ostrzegła ze śmiechem Caitlin - bo lekarz kazał mi się dobrze odżywiać, a ceny w takim eleganckim lokalu mogą być dosyć słone.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zajęli stolik na uboczu, w odległym kącie sali, w miejscu troszeczkę mrocznym, lecz wygodnym, szczególnie dla osoby z laską, gdyż nikt się tam niepotrzebnie nie kręcił, ani kelnerzy, ani konsumenci.

Ledwie zdążyli złożyć zamówienie, kiedy do restauracji wkroczyła elegancka aż do przesady i pachnąca na znaczną odległość najlepszymi perfumami atrakcyjna blondynka o szafirowych oczach, Madison St. John.

- Hej, Maddie! - zawołał do niej Reno, zanim Caitlin zdążyła go powstrzymać. - Przysiadź się do nas!

Madison zatrzymała się w pół kroku i rozejrzała się uważnie po sali, chcąc sprawdzić, kto taki ją do siebie zaprasza.

Spostrzegłszy Reno Duvalla, w pierwszym momencie uśmiechnęła się nawet. Kiedy jednak zorientowała się, że siedzi przy nim jej znenawidzona kuzynka, spochmurniała natychmiast i wzruszając ramionami, odparła:

- Wielkie dzięki, ale niestety nie mogę. Czekam na kogoś. Jestem z kimś umówiona.

Maddie spędziła ostatnich kilkanaście dni w Nowym Jorku, dopiero co wróciła i nie zdążyła się jeszcze dowiedzieć, że Caitlin Bodine uratowała dziecko z pożaru i doznała w związku z tym uszczerbku na zdrowiu, natomiast zyskała u ludzi z Coulter City i okolic sławę bohaterki, a u Reno Duvalla zrozumienie, sympatię i może nawet coś więcej.

Laski, gipsu i dyskretnych opatrunków u kuzynki w półmroku restauracyjnej sali nie zauważyła, natomiast

radykałną zmianę jej fryzury, z długiej na bardzo krótką, potraktowała jako przejaw naturalnej kobiecej skłonności do podążania za modą.

Odwróciła się więc ostentacyjnie tyłem i zajęła miejsce przy wolnym stoliku pośrodku sali.

- Jeszcze niedawno ty też tak byś zareagował na mój widok - stwierdziła z goryczą Caitlin.

- Ale wszystko się zmieniło, raz na zawsze! - zapewnił ją Reno. - Zrozumiałem...

- Trochę późno.

- No, przecież lepiej późno niż wcale! - Zniecierpliwiony Reno podniósł z lekka głos. - Tak się przynajmniej mówi - dodał ciszej.

- Fakt - zgodziła się Caitlin. - Chociaż ja chyba wolałabym powiedzieć, że lepiej późno niż za późno

- powiedziała z zadumą.

- Kiedy tak mówisz, masz na myśli Jessa? - próbował się upewnić.

- Przede wszystkim, ale nie tylko - odpowiedziała Caitlin trochę wykrętnie. - I mam nadzieję - dodała - że Maddie St. John zdąży cokolwiek zrozumieć, zanim zrobią się z nas dwie staruszki.

- Na pewno! - stwierdził optymistycznie Reno. - Nie przejmuj się.

- Nie zamierzam - mruknęła. - Mój lekarz zakazał mi nerwów i wzruszeń.

- To może lepiej, że Maddie do nas nie podeszła? Gdybyście się miały pogodzić, na pewno nie obeszłoby się bez łez. A tak...

- Co racja, to racja. Tak jest spokojniej - zgodziła się Caitlin.

A spostrzegłszy zbliżającego się akurat z zamówionym daniem kelnera, dodała melancholijnie:

- Po co łązy, wystarczy przecież, że ceny w tym lokalu są słone.

Zjedli lunch i opuścili restaurację, minawszy w milczeniu Maddie St. John, która siedziała samotnie przy swym stoliku nad porcją sałatki z owoców morza i nadal „na kogoś czekała”.

- Może ona tak czeka na ciebie? - rzucił filozoficznie Reno, kiedy zajęli już miejsca w samochodzie i ruszyli w drogę powrotną do domu. - Wiesz, czeka na to, że kiedyś znowu się spotkacie, dogadacie, pogodzicie, jak przystało na cioteczne siostry.

- A może czeka na swojego księcia z bajki? - zasugerowała pół żartem, pół serio Caitlin.

- Ty swojego już masz! - stwierdził ze śmiechem.

- Gdzie? - palnęła. I niemal natychmiast pożałowała tego słowa.

Ośmielony nim Reno Duvall wcisnął bowiem mocniej pedał gazu i prowadząc ostro, po kaskadersku, swoją terenową furgonetkę niezbyt ruchliwą na szczęście, peryferyjną ulicą sennego w porze popołudniowej sjesty Coulter City, odpowiedział buńczucznie:

- Tuż obok siebie.

- Bez przesady! - zachnęła się. - Ty możesz być co najwyżej moim sąsiadem, gdybyśmy się obydwójce zdecydowali zostać w Broken Ground.

- Nie chcę! - zaprotestował Reno.

Po czym, minawszy akurat roгатki Coulter City, docisnął pedał gazu do oporu i rozpędził wóz do naprawdę dużej prędkości.

- A czego właściwie chcesz?

Caitlin Bodine odważyła się postawić to pytanie, nie miała natomiast odwagi spojrzeć na samochodowy szybkościomierz.

- Chcę ciebie! - wyznał schrypniętym z emocji głosem i z głośnym piskiem opon wziął dosyć ostry zakręt.

- Chcę tylko ciebie, bo cię kocham!

- Daj spokój! - jęknęła.

- Nigdy!

- Wiesz co? - Głos Caitlin ze zdenerwowania stał się nienaturalnie przenikliwy i zawibrował dziwnym, ni to szyderczym, ni to histerycznym tonem. - Tak tylko mówisz, że mnie kochasz, a naprawdę...

- Nieprawda! - zaprotestował energicznie Reno. - Kocham cię!

- Nieprawda! Mnie nikt nie kocha! - wybuchnęła.

- Nikt nigdy w życiu mnie nie kochał, odkąd moja mama zginęła piętnaście lat temu w wypadku!

- My też zaraz zginiemy, jeśli doprowadzisz mnie do pasji taką bezsensowną gadaniną i stracę panowanie nad kierownicą! - huknął zirytowany Reno.

- To zjedź na parking i zatrzymaj wóz, zamiast szaleć na szosie jak wariat!

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak!

Zdjął nogę z gazu, wcisnął lekko hamulec, zmniejszając w ten sposób prędkość do nieco mniej ryzykownej niż przed chwilą, i ostro skręcił na niewielki parking, oddzielony od autostrady pasem dość bujnej zieleni. Tu docisnął hamulec do oporu i zatrzymał wóz w cieniu rozłożystego drzewa.

- Czy to miejsce może być? - spytał.

- Tak - odpowiedziała szeptem Caitlin.

I straciwszy całkowicie panowanie nad emocjami, rozplakała się.

- Ja też... cię kocham... - wykrztusiła przez łzy.

- Mój skarbie!

Radośnie podekscytowany Reno Duvall oderwał ręce od kierownicy, odpiął obydwie pasy bezpieczeństwa, swój i Caitlin, wziął ją w ramiona i mocno do siebie przytulił.

- Mój skarbie - powtórzył. - Mój ukochany skarbie!

Całowali się namiętnie w zaparkowanym na przydrożnym parkingu samochodzie dobry kwadrans, dopóki Caitlin nie zdecydowała:

- Jedźmy!

Reno Duvall nie oszczędzał ani silnika, ani hamulców, ani opon swojej terenowej furgonetki, wioząc Caitlin Bodine do Broken Ground.

Śpieszył się do domu, bowiem spodziewał się, że najbliższą noc spędzą razem.

Nie doznał zawodu.

Tej gorącej teksańskiej nocy pełne miłosne zespolenie potwierdziło prawdę miłosnych wyznań, uczynionych przez niego i przez nią za dnia.

Kiedy Caitlin Bodine obudziła się nazajutrz niezbyt wczesnym rankiem, Reno Duvalla już przy niej na pościeli nie było.

Widocznie zerwał się, jak zwykle, skoro świt, żeby jeszcze przed śniadaniem rozejrzeć się trochę po ranczu i zaplanować dla siebie i dla innych pracę na bieżący dzień.

Wstała bez pośpiechu, wzięła odświeżający prysznic, ubrała się i zeszła na dół.

Na śniadaniu zjawili się jednocześnie. Tyle, że ona weszła do kuchni przez główny hol, a on tylnymi drzwiami, prowadzącymi bezpośrednio z gospodarczego podwórza.

- Miło cię znowu widzieć - rzucił na powitanie.

Po czym zdjął z głowy i cisnął z rozmachem na krzesło swój kowbojski kapelusz, i nie zważając na obecność Mary, ujął Caitlin za obydwie ręce, przyciągnął do siebie i pocałował lekko w usta.

Zarumieniła się, zawstydzona, wyrwała mu się natychmiast i pod pozorem poszukiwania w staromodnym, przepaścistym kredensie jakichś konfitur czy przypraw, odskoczyła w drugi koniec obszernego pomieszczenia.

Odpowiedziała jednak:

- Mnie również miło, Reno.
- Więc tym bardziej przykro będzie się nam rozstać
- mruknął, zajmując miejsce przy stole.
- A co się stało?

Caitlin wypowiedziała to pytanie z tak bardzo widocznym zaniepokojeniem, wręcz z przestraczeniem, że Reno natychmiast pożałował rzuconych nieoględnie słów.

Pośpiesznie więc wyjaśnił, pragnąc ją uspokoić:

- Nic, nic! To tylko kilka dni. Muszę pilnie wyjechać na tę farmę Duvallów pod San Antonio.

- Dlaczego?

- Bo jej aktualny dzierżawca ma jakieś osobiste problemy i chce się natychmiast wynieść, miałem od niego z samego rana bardzo alarmujący telefon.

Caitlin głęboko, z wyraźną ulgą, odetchnęła i też usiadła przy stole.

- Ale wrócisz? - upewniła się.

- Ma się rozumieć, najmilsza! Tak szybko, jak tylko będę mógł.

- Och, to dobrze!

- Najpewniej za jakieś dwa albo najwyżej trzy dni

- uściślił Reno. - A ty nie uciekniesz do Montany w czasie mojej nieobecności, prawda?

- Nie - zapewniła.

- Miło słyszeć.
- A kiedy wyjeżdżasz?
- Jeszcze dzisiaj, właściwie zaraz.
- Będę chyba za tobą tęskniła - szepnęła Caitlin nieśmiało znad talerza.
- Ja też - szepnął Reno.

Mniej więcej po półgodzinie byli już po śniadaniu, a nie później niż po trzech kwadransach Reno Duvall wsiadł w swój samochód i wyruszył w drogę.

Po dwóch dniach zadzwonił, że jego nieobecność w Broken Ground trochę się przedłuży.

Po tygodniu odezwał się znowu.

I po dziesięciu dniach jeszcze raz.

Przy każdej okazji nieodmiennie zapewniał, że wróci do domu już niedługo, ale niestety, ciągle się w Broken Ground nie pokazywał.

Caitlin tęskniła coraz bardziej i coraz poważniej była zaniepokojona.

Nie mając jednak innego wyjścia, poza ewentualną, bezsensowną w jej obecnej sytuacji, ucieczką do Montany, cierpliwie czekała, aż sprawy się w jakikolwiek sposób wyjaśnią.

Oczywiście czekała z nadzieją, że będzie raczej dobrze niż źle.

Czternastego dnia od wyjazdu Reno, kiedy Caitlin i Mary jadły akurat razem lunch w kuchni, na tylny, gospodarczy dziedziniec domu w Broken Ground, wtoczył się majestatycznie luksusowy czarny cadillac.

Wysiadł z niego szofer w granatowym służbowym uniformie ze złotymi guzikami. Najpierw rozejrzał się uważnie i krytycznie dookoła, a potem wydobył z przepastnego bagażnika limuzyny jakiś pakunek i miarowym,

niespiesznym krokiem prawdziwie dystygowanego dżentelmena skierował się z nim w stronę wejściowych drzwi.

- To ja wyjrzę i wybadam, czego ten przebieraniec tutaj chce - zaofiarowała się gospoia. - Bo niby po co taki fałszowany lord miałby nam tutaj kąty przepatrywać w kuchni, prawda, panno Bodine?

Nie czekając nawet na odpowiedź Caitlin, podekscytowana Mary wybiegła na podwórko.

Po chwili wróciła, taszcząc pod pachą spory, płaski, prostokątny pakiet, niezbyt chyba ciężki, szczelnie zapakowany w szary papier i kilkakrotnie, gęsto i pedantycznie poprzewiązywany mocnym sznurkiem, niczym pocztowa przesyłka.

- Ten człowiek przywiózł to dla pani z Coulter City, z polecenia panny Madison St. John - poinformowała zaciekawioną Caitlin, kładąc pakiet na stole. - To chyba musi być jakiś obraz, panno Bodine. Ten człowiek mi powiedział, że panna St. John znalazła go na strychu.

Zaciekawiona i zdenerwowana, wręcz rozgorączkowana, Caitlin chwyciła spory kuchenny nóż, dopadła do pakunku i w pośpiechu, z niemożliwą do ukrycia niecierpliwością, zaczęła ciąć oplatającą go sznurkową sieć.

Przecież Maddie mieszka w Coulter City w starej willi, odziedziczonej po naszej wspólnej babce, Clarze Chandler! - rozmyślała w podnieceniu. - No więc, jaki inny obraz mogłaby znaleźć tam na strychu, jeśli nie portret mojej mamy z lat młodości?

Ten portret wisiał niegdyś w domu w Broken Ground na honorowym, reprezentacyjnym miejscu, w głównym salonie nad kominkiem. Caitlin go pamiętała, choć tylko jak przez mgłę. Albowiem natychmiast po tragicznej śmierci pięknej Elainy owdowiały Jess zdjął go z jakichś sobie tylko znanych powodów i usunął z domu. Natomiast w miejscu, które

zajmowało dotąd okazałe olejne malowidło, umieścił dwie oficerskie szpady, przechowywane ponoć w rodzinie Bodine'ów jeszcze od czasów wojny secesyjnej.

Caitlin poprzecinała w pośpiechu i podnieceniu wszystkie sznurki i przy wydatnej pomocy gosposi wydobyła obraz z opakowania.

- Wielkie nieba, przecież to pani portret, panno Bodine! - wykrzyknęła zdumiona Mary, ujrawszy olejną podobiznę niezwykle urodziwej młodej kobiety, niebieskookiej brunetki o zmysłowych, naturalnie koralowych ustach kusicielki i nienagannej figurze modelki.

Kobieta z portretu miała długie, rozpuszczone włosy, była ubrana w białą bluzkę z długimi rękawami, obrobioną koronką przy dekolcie i mankietach, czarne spódnico - spodnie do konnej jazdy, długie do połowy łydki, oraz czarne jeździeckie buty z wysokimi cholewami. W jednej ręce trzymała kowbojski kapelusz, a w drugiej bukiet niezapominajek.

- To portret mojej świętej pamięci mamy, Elainy Bodine, z domu Chandler - wyjaśniła Caitlin.

- Wielkie nieba! - ponownie zdumiała się Mary, klasnąwszy w rękę. - Przecież pani jest, panno Bodine, taka podobna do swojej mamusi, Panie świeć nad jej duszą, jak jedna kropla wody do drugiej.

- Może trochę.

- Nie trochę, tylko całkiem, jak słowo daję! Jakby kto, z przeproszeniem, skórę zdjął - rozgadała się Mary. - Na ten portret popatrzeć, a w lustrze panią postawić, panno Bodine, wychodzi na jedno i to samo!

Caitlin uważnie, wręcz zachłannie patrzyła na nie widzianą od beznadziejnie długich piętnastu lat podobiznę Elainy.

Miała dziwne, trochę niesamowite wrażenie, że matka również na nią spogląda z ram portretu. Z leciutkim, ledwie

zauważalnym uśmiechem zadumy i smutną, melancholijną tkliwością.

- Chyba gdzieś zawiesimy ten portret, prawda, panno Bodine? - odezwała się Mary.

Caitlin skinęła głową.

- Tylko gdzie by go tutaj... - zaczęła się głośno zastanawiać gospoia.

- Kiedyś wisiał w salonie nad kominkiem.

- Tam, gdzie teraz są te dwa stare szpikulce, co to się boję nimi zaciąć, jak je z kurzu omiatam? - upewniła się Mary.

- Właśnie.

- No, to my zaraz ściągnijmy tamto żelastwo, panno Bodine, i zawieśmy na swoim miejscu ten prześliczny portret, co to nie wiedzieć czemu poniewierał się u panny St. John na strychu. Zgoda?

- Jasne! - przytaknęła Caitlin i radośnie się uśmiechnęła.

Portret pięknej kobiety, która dała jej życie i którą zapamiętała z dzieciństwa jako najlepszą na świecie matkę, wydał jej się bez porównania stosowniejszą ozdobą salonu, niż biała broń, winna z pewnością śmierci niejednego żołnierza w wojnie między Północą a Południem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Niemal całe popołudnie Caitlin Bodine spędziła tego dnia w salonie, zatopiona w stojącym naprzeciwko kominka rozłożystym fotelu i wpatrzona w portret Elainy.

Tak intensywnie rozmyślała o matce, że chwilami zaczynała coś do niej mówić. Niemal natychmiast, oczywiście, milkła.

Przecież za każdym razem uświadamiała sobie od nowa, nie bez rozczarowania, a nawet żalu, że postać pięknej, młodej kobiety, spoglądającej na nią z ram obrazu, jest tylko podobizną, malarską wizją utrwaloną olejnymi farbami na płótnie, nie zaś żywą, realną osobą.

Szkoda, że nie mogę z mamą porozmawiać! - stwierdzała w duchu ze smutkiem. Tyle bym jej naopowiadała o sobie, o tych wszystkich latach, kiedy jej już przy mnie nie było. I o tyle ważnych spraw spróbowałabym ją zapytać.

O nią, o ojca, o ich małżeństwo. I o zagadkę mojego pochodzenia! To znaczy o to, czy jestem córką Jessa Bodine'a, czy...

Ponieważ dama z portretu uśmiechała się jedynie tajemniczo i milczała, Caitlin postanowiła porozmawiać z człowiekiem, który jako jedyny spośród obecnych mieszkańców Broken Ground mógł jeszcze pamiętać zaręczyny i ślub Elainy i Jessa, i najwcześniejszy okres ich małżeństwa. Postanowiła porozmawiać z Lucky'm Reedem.

Wieczorem posłała po niego Mary do kowbojskich kwater w oficynach. Gospośia wróciła z wiadomością, że stary Lucky zaraz będzie, tylko się trochę po robocie ogarnie.

Kowboj zjawił się mniej więcej po kwadransie, w odświętym ubraniu i z nowym kapeluszem w ręku.

Caitlin powitała go w holu i wprowadziła do salonu, nie uprzedzając, że nad kominkiem, zamiast historycznych szpad z pól bitewnych wojny secesyjnej, wisi odnaleziony cudem po piętnastu latach portret.

Lucky wszedł trochę niepewnie, a może nawet niechętnie, gdyż spędzając większość życia w siodle, na pastwiskach i na prerii, raczej nie był przyzwyczajony do przebywania „na pokojach” i miał pełne prawo czuć się nie najlepiej we wnętrzu wyłożonym kosztownym perskim dywanem i zastawionym eleganckimi meblami.

Na widok portretu natychmiast jednak się ożywił.

- Panie Świąty! - wykrzyknął i zaczął przechadzać się po salonie, popatrując z zaciekawieniem na malowidło to z jednej, to z drugiej strony. - Toć ja dobrze pamiętam, jak ten krajobraz z panią mamusią był malowany!

- Naprawdę?

- Jak Boga kocham! - zapewnił. - Sam przecie widziałem, jak ten miastowy artysta malował, a panią mamusią pozowała, z kwiatkami i kapeluszem.

- Widział pan, panie Reed? - spytała Caitlin, wciąż z lekkim niedowierzaniem.

- Na własne oczy, tak jak panią teraz oglądam. Ten malarz sobie pacykował, a ja się przez cały czas przyglądałem.

- Nie złościł się o to?

- Artysta?

- No tak.

- A diabli go tam wiedzą, panienko. Jak nawet się złościł, to przecie tylko po cichu, bo na głos nie miał nic do gadania.

- A dlaczego?

- Toć przecie nieboszczyk pan Bodine osobiście obstał u niego ten portret swojej młodej żonki i płacił mu z rączki do rączki brzęcząca moneta za tę jego pacykarską

robotę - wyjaśnił Lucky Reed. - Dlatego musiało być tak, jak on chciał. .

- A jak ojciec chciał? - zapytała dość obojętnym tonem Caitlin. Spodziewała się bowiem, że Lucky opowie jej coś na temat dobierania przez malarza barw, rekwizytów czy tła.

Tymczasem kowboj ciężko westchnął i zrobił wyjątkowo zbolaną minę.

Natychmiast wskazała mu fotel, sądząc, że źle się czuje. Przysiadł z wyraźną ulgą, ale nadal uparcie milczał jak zakłęty.

- No więc, jak ojciec chciał, żeby było? - powtórzyła zaintrygowana, sadowiąc się również.

- Ech, nawet szkoda gadać, panienko! - stwierdził Lucky z wyraźnym niesmakiem i znacząco machnął ręką.

- Dlaczego?

- No, bo nieboszczyk pan Bodine to wtedy ze mnie, z przeproszeniem, ciecica zrobił!

- Znaczy...

- Znaczy się dozorcę, czy jak to tam państwo mówi. Takiego pilnowacza.

- A kogo pan pilnował, panie Reed?

- Na tego artystę w pierwszym rzędzie musiałem mieć oko, ma się rozumieć - odparł Lucky. - Ale i na panienki mamusię, świętej pamięci panią Elaineę - dodał ciszej, trochę zakłopotany.

- I to ojciec panu takie zajęcie wymyślił, panie Reed? - *Catlin* nie ustawała w indagacjach.

- A któżby inny! Nieboszczyk pan Bodine to o swoją żonę, panią Elaineę, taki był zazdrosny, od samego ich ślubu, że jej pilnował jak regularny fiksat.

- Naprawdę?

- A jakże! Na krok jej od siebie samej nie puszczał, nigdzie, nawet z wizytą do starszej pani, znaczy się do

panienki babci, świętej pamięci pani Clary Chandler, do Coulter City. Wszędzie, ale to wszędzie z nią chodził, wszędzie z nią jeździł. Tylko tamten jeden raz... - Lucky zawiesił głos.

- Kiedy?

- No, jak zdarzył się ten wypadek, co to mamusia panienki zginęła.

- To co? - Poruszona opowieścią, Caitlin domagała się ostatecznych wyjaśnień.

- To ona wtedy jakoś się zniecierpliwiła i wzięła samochód w sekrecie, bo nieboszczyk pan Bodine akurat pojechał za bydłem, i chciała szybko obrócić, do miasta i z powrotem, no i przeklęty traf chciał, że zderzyła się z ciężarówką...

- Boże!

- I właśnie wtedy, zaraz po tej strasznej śmierci pani Elainy, nieboszczyk pan Bodine sobie ubrdał, że jak ona tak w tajemnicy gdzieś jeździła, to pewnikiem, tfu, do kochanka! No i dlatego sobie wymyślił, że panienka... - znów przerwał.

- Że nie jestem jego rodzoną córką?

- Ano właśnie.

W salonie zapadło milczenie.

Przez dłuższą chwilę ani zmęczony kłopotliwym wyznaniem Lucky Reed, ani Caitlin, zbulwersowana usłyszaną po raz pierwszy w życiu opowieścią o okolicznościach, w jakich doszło przed laty do tragicznego wypadku samochodowego jej matki, nie wypowiedzieli ani słowa.

W końcu kowboj odezwał się filozoficznie:

- Wszyscy oni już w boskich rękach, panienko, i piękna panienki mamusia, i pan Bodine, i ta pani Sheila, co się z nią później ożenił, żeby za długo nie być wdowcem, i ten jej młodszy synalek z piekła rodem. Nie nam ich oceniać, nie

nam się o nich martwić. Życ trzeba, póki się człowiek po świecie kołacze, i tyle! O sobie myśleć, swoje sprawy w swoich rękach trzymać. Dobrego męża sobie wziąć...

Mimo pełnej powagi i napięcia sytuacji, a może właśnie z jej powodu, powodowana podświadomą chęcią odreagowania, Caitlin Bodine parsknęła śmiechem.

- Mówi pan może o sobie, panie Reed? - zapytała. Starszawy kowboj zerknął w pierwszej chwili na nią posepnie spod oka, ale za moment również się w głos roześmiał.

- Co to, to nie - wyjaśnił. - Mówiłem o panience.

- Że niby co? - zaczęła się z nim droczyć.

- Że za mąż trzeba się wydać.

- Ale za kogo?

- Za pana szefa, ma się rozumieć.

- To znaczy...

- Znaczy się... za młodego pana Reno.

- Za Reno?

- Toć to dobry chłopak, panienko, pracowity, gospodarny, stateczny. Chociaż uczony, ale nie zarozumialec i człowieka też nieraz o coś zapyta, jak chodzi o konia czy krowę, dajmy na to. I chociaż przystojniak, to wcale nie babiarz, bynajmniej. Chłopak na schwał, można powiedzieć. Jak malowanie. Do tańca i do różańca! - Rozentuzjasmowany kowboj zaczął rozpływać się w pochwałach.

- Panie Reed, czy on pana wynajął? - spytała rozbawiona Caitlin.

- Znaczy się... do roboty, panienko? Gdzież tam - zaprzeczył Lucky - ja przecież robię tu, na ranczu w Broken Ground...

- Chciałam zapytać, czy Reno wynajął pana na swata?

Kowboj, który dopiero teraz właściwie zrozumiał postawione przez Caitlin pytanie, roześmiał się znów głośno i zaprzeczył:

- Gdzież tam, panienko! Ja tylko tak ze szczerego serca radzę.

- To wielkie dzięki za dobrą radę, panie Reed. Tylko że na razie Reno nie ma od ładnych kilku dni w Broken Ground, jak sam pan wie.

- Ale wróci! Na pewno wróci, panienko, już ja tam wiem, co mówię.

- Jak wróci, to dopiero zobaczymy, co powie.

- Już ja tam wiem, panienko, co on powie - stwierdził z przekonaniem kowboj, dźwigając się z fotela. - Już ja tam wiem, co on powie, niech panienka śpi spokojnie. Życzę dobrej nocy!

- Dobranoc, panie Reed - odpowiedziała Caitlin i również wstała z fotela. - Odprowadzę pana do drzwi.

- Nie, nie, panienko, nie trzeba nóżek po próżnicy trudzić, toć ja sam trafię. Niech panienka lepiej posiedzi tu jeszcze troszkę, pomyśli sobie o tym wszystkim, co naopowiadałem, zastanowi się, co dalej robić. Zgoda?

- Mogę pomyśleć, panie Reed, czemu nie - mruknęła Caitlin trochę bez przekonania.

- A może świętej pamięci mamusia cokolwieczek panience podpowie? - rzucił kowboj pół żartem, pół serio już od samych drzwi.

I wyszedł.

Caitlin przysiadła i znów wpatrzyła się w zawieszony nad kominkiem portret.

- Czy ty też uważasz, mamó, że powinnam wyjść za mąż za Reno Duvalla? - zapytała.

Nie doczekała się od matki, oczywiście, żadnej słownej odpowiedzi. Jednak odniosła nieodparte wrażenie, że

dotychczasowa melancholia zniknęła z urodziwego oblicza Elainy Bodine, ustępując miejsca ukontentowaniu...

Następnego dnia rano nadeszły z laboratorium wyniki testów DNA, potwierdzające bliskie pokrewieństwo pomiędzy Caitlin i Jessem. Tego też dnia po południu w Broken Ground zjawił się wreszcie Reno Duvall.

- Trochę mi zeszło, prawda? - odezwał się na powitanie do Caitlin, dość tajemniczo uśmiechnięty.

- Owszem - mruknęła naburmuszona, nie pozwalając mu wziąć się w objęcia.

- Nie pytasz nawet, dlaczego? - zdziwił się.

- Pytam.

- No, to już mówię! Zabawiłem poza domem trochę dłużej, bo postawiłem wszystko na jedną kartę i sprzedałem tamto ranczo, skoro dotychczasowy dzierżawca je opuścił.

- Sprzedałeś?

- Tak.

- Komu?

- Niejakemu Lincolnowi Coryellowi, bogatemu ranczerowi spod San Antonio.

- Ale właściwie, po co?

- To chyba jasne! Żeby zainwestować trochę świeżych pieniędzy tu, w Broken Ground! - odparł Reno.

- Przecież musimy zbudować nową stajnię, nowocześniejszą i chyba większą od tej spalonej.

- To prawda.

- I kilka nowych koni pod wierzch przydałoby się dokupić.

- Fakt!

- Gdybyśmy mieli więcej wierzchowych koni - Reno zaczął snuć plany - to moglibyśmy urządzić wtedy tu u nas, w

Broken Ground, taki ośrodek jeździecki dla turystów z Północy, wiesz, takie teksańskie wakacje i weekendy w siodle, na łonie dzikiej przyrody, w autentycznie kowbojskim stylu, czy jak tam to jeszcze zachwalają w reklamach. Jeździectwo to modny sport, a turystyka to świetny biznes! Mogłabyś to wszystko poprowadzić, skoro tak bardzo lubisz i tak doskonale rozumiesz konie - zasugerował.

- Całkiem ciekawa propozycja - stwierdziła Caitlin, wyraźnie się rozchmurzywszy. - Ale stawiam jeden warunek - zastrzegła.

- Jaki?

- Że zorganizowałabym w tym ośrodku bezpłatne turnusy dla dzieciaków ze zwichniętymi...

- Nogami? - palnął podekscytowany Reno.

- Życiorysami! - poprawiła go. - Takimi chociażby, jak mój własny. Jeździectwo to doskonała terapia dla ludzi z życiowymi kłopotami.

- A małżeństwo?

- No, nie wiem... - zawahała się. - Czasami też chyba nieźła.

- Więc pobierzmy się!

- Kiedy?

- Jak najszybciej, bo przecież straciliśmy niepotrzebnie już dość czasu!

- Ale ja przecież... mam nogę w gipsie... i jeszcze trochę śladów po oparzeniach...

- To nic, do wesela wszystko się zagoi. No więc?

Uradowana i wzruszona Caitlin Bodine nic nie odpowiedziała, tylko po prosta rzuciła się w ramiona Reno Duvalla. Była po raz pierwszy w życiu naprawdę szczęśliwa.

